JAK MICHAŁ ZE LWOWA DO CHIN ZAWĘDROWAŁ

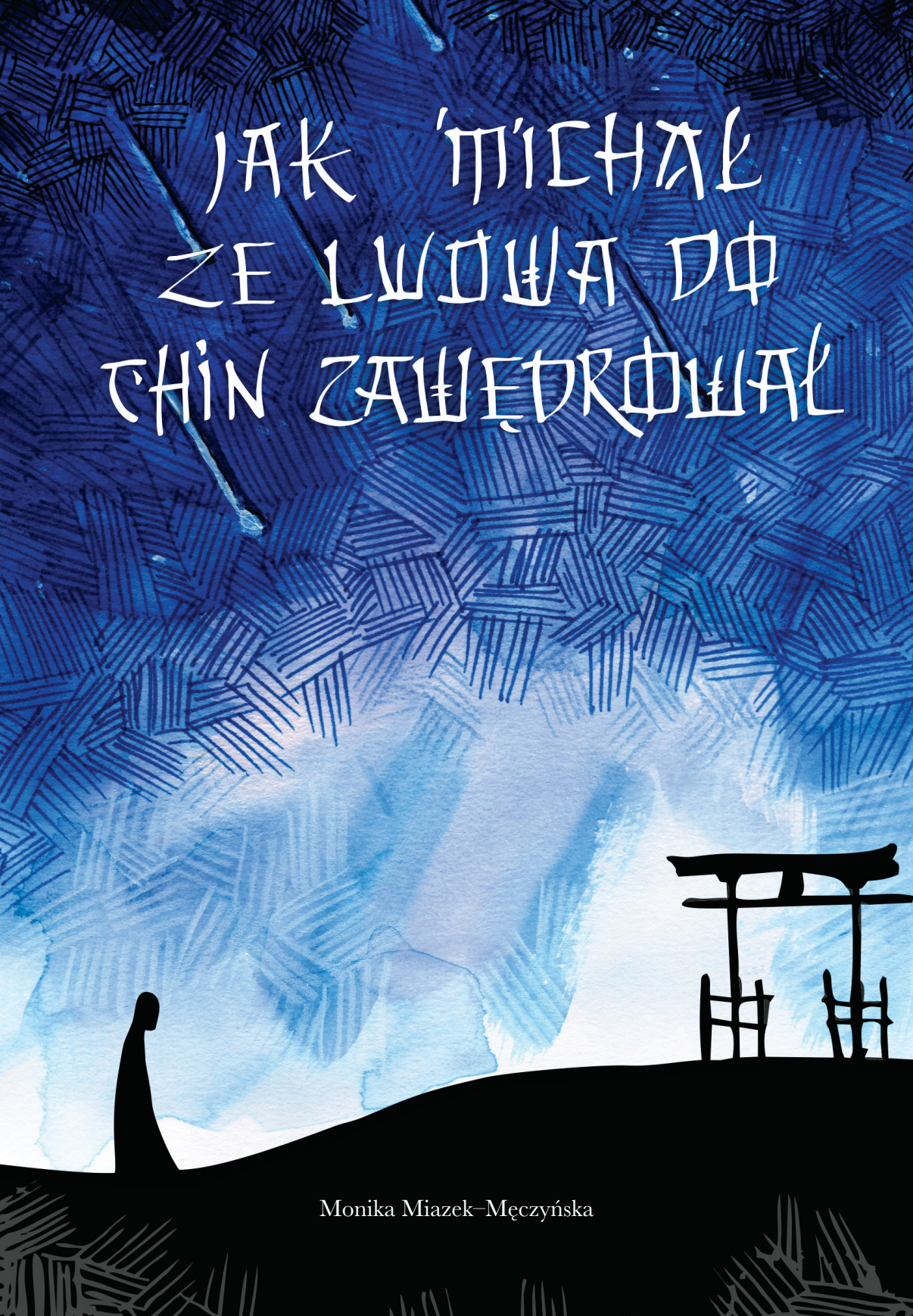

Monika Miazek–Męczyńska

JAK MICHAŁ ZE LWOWA DO CHIN ZAWĘDROWAŁ

Zanim się zacznie przygoda

Na pewno słyszeliście kiedyś o Marco Polo, włoskim kupcu i podróżniku, który zawędrował w XIII wieku z Wenecji do dalekich Chin. Spędził tam kilkanaście lat i jako urzędnik chińskiego cesarza Kubilaja odbył liczne podróże, dzięki czemu mógł zobaczyć wiele niezwykłych miejsc. Gdy Marco Polo wrócił do Europy i w czasie jednej z wojen trafił do więzienia, jego opowieści zostały spisane przez kolegę z celi w książce, którą znała wkrótce cała Europa. Dzięki tej książce Marco Polo stał się jednym z najsławniejszych podróżników. Jego wspomnienia czytał na przykład Krzysztof Kolumb, zanim wypłynął w rejs do Indii (który zakończył się odkryciem Ameryki) i nawet porobił sobie notatki na marginesach!

A czy słyszeliście o Michale Boymie? Był Polakiem, który tak jak Marco Polo dotarł do Państwa Środka, choć w zupełnie innych okolicznościach. Boym urodził się we Lwowie i tam wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, bo od dziecka marzył, żeby zostać misjonarzem w Chinach. I udało mu się to marzenie zrealizować! On również spotkał się z chińskim cesarzem – z Yongli, ostatnim władcą z dynastii Ming, a nawet powierzono mu misję dostarczenia do Europy listów chińskiej cesarzowej Heleny wymalowanych pędzelkiem na żółtym jedwabiu. Działo się to w XVII wieku. Boym nie napisał, niestety, tak sławnej książki jak Marco Polo – (może dlatego, że nigdy nie był w prawdziwym więzieniu?), choć i on musiał niekiedy salwować się z kłopotów ucieczką. Stworzył jednak wiele pism nauko-

wych o chińskiej medycynie, historii, roślinach i zwierzętach. Wykreślił też mapy Chin i napisał wiele listów. Część z nich jeszcze ciągle znajduje się w archiwach i nie była dotychczas publikowana. Z tych wszystkich dokumentów powstała moja opowieść o przygodach Michała Boyma. Musiałam ją trochę doprawić szczyptą wyobraźni, bo w zachowanych pismach nie przedstawiono żadnych szczegółów, ale uwierzcie mi – wiele z tego, co opisałam, wydarzyło się naprawdę, a reszta – mogła się wydarzyć.

Monika Miazek–Męczyńska

Rozdział I
Święty objawia się we Lwowie

Ogarek świecy dopalił się z cichym sykiem, jakby czuł, że nie jest już potrzebny. Nad Lwowem wschodziło słońce. Blade światło poranka sączyło się przez krzywo zasunięte zasłony dziecięcej sypialni, a w jego promieniach wirowały drobinki kurzu, unoszące się z aksamitnego baldachimu nad wielkim łóżkiem w kącie pokoju.

– Mamo! Mamo! – głośny krzyk przerwał zaspaną ciszę.

Czarny kocur, dotąd zwinięty w kłębek w nogach łóżka, z oburzeniem nastroszył sierść, a kobieta drzemiąca w fotelu poderwała się gwałtownie.

Kończyła się kolejna z szeregu wielu nocy, które spędziła czuwając przy łóżku syna, na przemian martwiąc się, modląc i przysypiając. Michał leżał w gorączce od tylu dni, że sama nie była już w stanie ich zliczyć. Czasem spał tak spokojnie i cicho, że musiała wręcz sprawdzać, czy słaby oddech unosi jeszcze jego pierś. Kiedy indziej rzucał się w malignie po całym łóżku, kopiąc grubą białą pierzynę i wykrzykując niezrozumiałe słowa. Matka bała się i tych cichych, i tych nerwowych nocy. Dziś jednak było inaczej. Około północy niespokojny dotąd Michał wyraźnie się odprężył. Na jego ustach pojawił się nawet leciutki cień uśmiechu, który odmienił zupełnie jego wycieńczoną, bladą twarz. Patrząc na śpiącego syna, matka po raz pierwszy od wielu dni i nocy także się uśmiechnęła i pozwoliła sobie na chwilę drzemki, którą tak gwałtownie przerwał dziecięcy krzyk.

Zerwała się na równe nogi i nerwowo spojrzała na łóżko. Z niedowierzaniem przetarła zaczerwienione od niewyspania powieki, bowiem Michał, jej synek, blady, potargany, ale zupełnie przytomny, siedział wśród rozrzuconej pościeli i patrzył na nią wielkimi, ciemnymi oczami, w których lśnił niezwykły blask.

– Syneczku, co ci to? Jak się czujesz? – zapytała ze zwykłą troską, podchodząc szybko do łóżka.

– Dobrze, mamo. I teraz będę już zupełnie zdrowy – odpowiedział Michał, podskakując na poduszce.

– Zdrowy, Michasiu? Jakże bym tego chciała… – westchnęła matka, z troską dotykając czoła syna. Od wielu dni tym samym gestem badała jego temperaturę, by po chwili nakładać zimne kompresy i modlić się o ustąpienie choroby. Teraz czoło Michała było chłodne i suche. Gorączka zniknęła, ale błyszczące spod niesfornej grzywki oczy syna napełniły mamę nowym niepokojem.

Chłopiec niecierpliwym gestem odsunął matczyną dłoń i wyskoczył z łóżka, nie zwracając uwagi, że kopnął stojący na podłodze nocnik (szczęśliwie pusty), który potoczył się i wpadł na kota, myjącego pracowicie języczkiem swe lśniące futerko. Kot miauknął z najwyższym oburzeniem, ale Michał nawet tego nie zauważył. Podniecony podskakiwał na jednej nodze kręcąc się w kółko i opowiadając bez chwili wytchnienia:

– Dobrze, mamo, wszystko będzie dobrze. Widziałem we śnie cudowne zjawisko. Przyszedł do mnie misjonarz, cały lśniący od blasku słonecznego. Nie mogłem na niego patrzeć, bo był taki błyszczący, taki piękny, że aż oczy bolały. To był Franciszek Ksawery! Pamiętasz? Ten, na którego cześć śpiewa-

liśmy taki ładny psalm w naszej katedrze. Był bardzo smutny, a ja zapytałem dlaczego. A on pokiwał głową i powiedział, że Chińczyki nie znają Pana Jezusa i dlatego jest mu tak przykro. Bo tam nikt nie czyta Pisma Świętego. I „Ojcze nasz" nie mówią. I Świętej Panienki nie znają. To ja zapytałem, czy nikt tych Chińczyków nie może nauczyć o Panu Bogu. A Franciszek się uśmiechnął i powiedział, że ja mogę. I zapytał dlaczego mu nie pomagam, tylko wyleguję się w łóżku, kiedy tylu Chińczyków nie poznało jeszcze Pana Jezusa. To ja się strasznie zdziwiłem i odpowiedziałem, że przecież jestem mały i strasznie chory, i słaby, i lekarz zabronił mi wstawać. Ale Franciszek Ksawery pokręcił głową i powiedział, że jeśli zostanę jezuitą, to będę zdrowy i silny, i zostanę misjonarzem, i pojadę do Chin! To ja się zaraz zgodziłem, a Franciszek Ksawery pogłaskał mnie po głowie i … zniknął. Mamo! Będę misjonarzem! Zobaczę Chińczyków!

Mama, która nie mogła przerwać tego potoku słów, patrzyła z niedowierzaniem na syna. W długiej białej koszuli, z bosymi stopami, głową opromienioną słonecznym blaskiem, przejęty i roześmiany wyglądał jak anioł z kościelnych obrazów. Poza bladością twarzy nie nosił już żadnych oznak choroby, która przez tyle dni trzymała go na granicy życia i śmierci.

– To cud… – wyszeptała w końcu, a chłopiec ze śmiechem rzucił się jej na szyję. Po policzkach mamy popłynęły łzy, kiedy tuliła i całowała ciemnowłosą głowę swojego synka.

– Nie płacz, mamusiu. Będę misjonarzem, będę jezuitą, pojadę do Chin… – powtarzał Michał, powoli uspokajając się w ramionach matki. Euforia już minęła i osłabione chorobą

ciało chłopca potrzebowało odpoczynku. Mama ułożyła syna z powrotem w łóżku, otuliła go kołdrą po same uszy i prosiła, by zasnął. Już po chwili powieki Michała opadły, a na twarzy rozlał się rozmarzony uśmiech. Kot ponownie zwinął się w kłębek tuż przy kolanach chłopca, pomrukując z aprobatą, bo w pokoju znów zapanował spokój.

Matka po cichu wymknęła się z sypialni.

– Muszę szybko wezwać doktora, żeby obejrzał Michasia – pomyślała. – Ale najpierw pobiegnę do kaplicy ogrójcowej, podziękować świętemu Franciszkowi Ksaweremu. Da Bóg, że Michaś wydobrzeje i zostanie jezuitą. A niechby i pojechał do tych Chińczyków, gdziekolwiek oni mieszkają. Byle mi wyzdrowiał – szeptała sama do siebie, schodząc po schodach i otwierając ciężkie drzwi kamienicy.

Na dworze przywitało ją jasne światło słońca. Bruk lwowskich ulic lśnił jeszcze po niedawnym deszczu, ale niebo było już czyste, jakby tego ranka wszelkie smutki odeszły w przeszłość. Kobieta szybkim krokiem powędrowała w kierunku kaplicy Boymów, ufundowanej przy katedrze lwowskiej przez dziadka Michała. Jej serce było radosne i pierwszy raz od wielu, wielu dni spokojne. Choć po głowie kołatało się ciągle pytanie: „Gdzież, na Boga, mieszkają te Chińczyki?”

Rozdział II
Na jezuickiej scenie

Quousque tandem abutere, Catilina, patientia nostra... Jak długo będziesz nadużywał naszej cierpliwości, Katylino... – Ojciec Profesor po raz kolejny monotonnym głosem powtarzał mowę Cycerona. Chłopcy stłoczeni w niewielkiej salce krakowskiego kolegium jezuitów przysłuchiwali się temu bez zbytniego entuzjazmu. Po chwili jednak zgodnym chórem wyskandowali to samo zdanie, dbając – rzecz jasna – o poprawność akcentów w łacińskich słowach. Nikt nie chciał poczuć twardej drewnianej linijki na swoich dłoniach!

Bardziej od mowy rzymskiego klasyka nowicjuszy interesował śnieg, który zaczął padać na dworze. Wielkie białe płatki, wirujące za oknem, obiecywały nie tylko szaloną bitwę na śnieżki w czasie pauzy, ale też piękne święta Bożego Narodzenia, które otulone czystą bielą śnieżnego puchu stawało się zawsze jeszcze radośniejsze.

– Zobacz, jak sypie! – szepnął z podekscytowaniem Jaś Smogulecki, trącając w bok kolegę ze szkolnej ławki. Michał omal nie wypadł zza pulpitu, nieprzygotowany na mocną sójkę w bok. Nieuważnie rzucił okiem w kierunku okna.

– Sypie, jak to zwykle w grudniu – stwierdził bez entuzjazmu. – Lepiej powiedz, czemu tu jest „patientia" w ablatiwie zamiast w akuzatiwie, bo nijak nie mogę pojąć tej gramatyki.

– Oj, głupieloku! Przecież po czasowniku „abutor" musisz dać ablatiwus – odpowiedział Jaś z wyższością starszego kolegi.

I zaraz dodał: – A nie masz ty innych zmartwień? Po co nam w ogóle te starożytne mowy? Ja wolę arytmetykę. Zresztą lepiej pomyśl o wielkim bałwanie, którego ulepimy dziś na podwórzu. Zrobię mu takie same odstające uszy i perkaty nochal, jaki ma nasz profesor od gramatyki.

Michał stłumił chichot, wyobrażając sobie bałwana–profesora, ale odpowiedział z udaną powagą i tą samą intonacją głosu, jaką słyszeli właśnie od strony katedry:

– Jeśli nie poznacie dzieł wielkich mistrzów starożytnego Rzymu, sami nie zdołacie wygłosić pięknego kazania. Musicie je powtarzać, powtarzać i powtarzać. *Repetitio est mater studiorum*! Powtarzanie jest matką nauki! – a potem już swoim własnym głosem dokończył: – Mam w pokoju kawałek drutu. Możemy z niego zrobić bajeczne okulary dla bałwana.

– Boym i Smogulecki! *Silentium*! Cisza! – zagrzmiał groźny głos z katedry. Profesor, poczerwieniały z gniewu, wymierzył oskarżycielsko palec w kierunku chłopców, ale nim ci zdążyli się podnieść z ławki, rozległo się pukanie do drzwi i do sali wkroczył uśmiechnięty brat Florian, zwany przez nowicjuszy Pączusiem, ze względu na swe rumiane, okrągłe oblicze.

– Proszę o wybaczenie, Ojcze Profesorze – zwrócił się w kierunku wykładowcy. – Czy mogę zabrać kilku uczniów na próbę przedstawienia? Premiera już za trzy dni, a przed nami jeszcze dużo pracy. Pół miasta przyjdzie, by zobaczyć dramę.

– Czemu wasze próby, bracie Florianie, muszą zawsze odbywać się podczas zajęć z gramatyki? – zapytał z żalem profesor.

– Ach, zapewniam, że wiedza tych młodzianków absolutnie na tym nie ucierpi – pośpieszył z odpowiedzią brat

Florian. – Wszak przedstawienie zagramy po łacinie, a historia o narodzinach Pana Naszego Jezusa Chrystusa z pewnością wpłynie budująco na te chwiejne duszyczki.

– A których to nicponiów mam zwolnić?

– Na początek Boyma i Smoguleckiego, bo bez nich nie możemy przećwiczyć śpiewu anielskich chórów nad Dzieciątkiem – odparł brat Florian.

Jaś i Michał spojrzeli na siebie z uśmiechem – tym razem reprymenda Ojca Profesora im się upiecze!

– Niech więc idą, skoro nie ma innego wyjścia – pokiwał głową nauczyciel. – Ale jako karę za dzisiejsze zachowanie przepiszą po 200 razy świętą maksymę naszego Towarzystwa: *Omnia ad maiorem Dei gloriam* – Wszytko dla większej chwały Boga.

– Tak jest, Ojcze Profesorze – wykrzyknęli Michał i Jan, i niemal biegiem opuścili klasę, a potem w radosnych podskokach pomknęli do sali prób, nie czekając nawet na brata Floriana, który dostojnie potoczył się ich tropem.

Gdy zdyszany brat Florian dotarł do sali, grupka nowicjuszy przymierzała już w najlepsze stroje aniołów. Wśród śmiechów i pokrzykiwań oblekali się w białe szaty, przyczepiali sobie skrzydła i złote aureole.

– Michałku, wyglądasz jak tłusty kogut – zachichotał Jaś Smogulecki, wciskając przyjacielowi aureolę na czoło.

– A ty jak kwoka nioska – odwzajemnił się Michał i zdzielił Jana po głowie parą śnieżnobiałych skrzydeł. Pióra zaczęły wirować w powietrzu, gdy dwa anioły wśród pisków i śmiechu rzuciły się w pogoń dookoła sali.

– *Pax, pax* między aniołami! – zawołał od drzwi brat Florian, na co chłopcy zaprzestali gonitwy i zaczęli gorliwie wygładzać potargane piórka. Brata Floriana kochali wszyscy za jego dobroduszność i niegasnący optymizm, toteż nikt nie chciał sprawić mu przykrości. Poza tym to on miał klucz od szafki z marmoladą, a to czyniło go w oczach chłopców niemal równym generałowi zakonu w Rzymie!

– Chłopcy kochani – westchnął brat Florian – spod tych złotych aureolek sterczą wam iście diabelskie różki! Dość tych bezeceństw! Zacznijmy wreszcie próbę.

Nowicjusze posłusznie przeszli na koniec sali, gdzie na podwyższeniu stał już pokaźnych rozmiarów żłóbek wypełniony pachnącym sianem.

– Tylko nam tu woła brakuje – mruknął pod nosem Jaś.

– A jakże, bo osła już mamy – zachichotał Michał, klepiąc przyjaciela mocno po plecach.

– Sam jesteś osioł! I to dardanelski! – żachnął się Jan, ale jedno spojrzenie brata Floriana stłumiło rodzącą się kłótnię.

– Chłopcy, stańcie za żłóbkiem, jeden obok drugiego i zacznijcie śpiewać Gloria in excelsis.

Chłopcy ochoczo ustawili się w nierównym rzędzie i jak jeden mąż ryknęli z całą mocą: „Florian, Florian, Florian in excelsis Deeeeeeeeo!".

– Ach, wy basałyki niepokorne! – roześmiał się brat Florian. – Jeszcze trochę i naprawdę pójdę przez was prosto do nieba.

– A, bo, bracie Florianie, jak my mamy śpiewać, że „chwała na wysokościach", skoro stoimy na ziemi? Jak ma być

„gloria in excelsis", to powinniśmy być na jakiejś drabinie – odpowiedział szybko Jaś Smogulecki.

– Na drabinie, powiadasz? – zamyślił się brat Florian. – Przednia myśl! Przynieśmy drabiny z komórki.

Tego chłopakom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Po kilku minutach trzy drabiny stały oparte o ścianę, a chłopcy wśród przepychanek uformowali się na nich w chóry anielskie. Na samym szczycie najwyższej drabiny usadowił się, rzecz jasna, Jaś Smogulecki, który niczym archanioł rozłożył szeroko ramiona, by dyrygować kolegami. Na znak dany przez brata Floriana wszystkie anioły zaśpiewały – niezbyt równo, lecz bardzo radośnie. Piękne słowa, wyśpiewane przed wiekami do pasterzy w noc Bożego Narodzenia, wypełniły salę prób w jezuickim kolegium, wlewając w serce brata Floriana dumę i nadzieję na powodzenie spektaklu. Zasłuchany brat przymknął oczy, delektując się donośnym śpiewem anielskiego chóru.

Nim jednak wybrzmiały ostatnie słowa, z wyżyn drabiny rozległ się głośny krzyk i oto Jaś Smogulecki, stojący właśnie na jednej nodze na najwyższym szczeblu drabiny, zatrzepotał rękami niczym prawdziwy anioł, po czym stracił równowagę i runął prosto do wysłanego sianem żłóbka.

– Matko Boska, złamał kark! – krzyknął z przerażeniem brat Florian, biegnąc do żłóbeczka, a wszyscy chłopcy zamarli w bezruchu, dopóki nie usłyszeli stłumionego nieco głosu dochodzącego spod sterty piór i siana.

– Nic nie złamałem, bracie Florianie – wyjęczał Jaś. – Tylko mi aureola pękła...

– Mój ty upadły aniele – rozczulił się na te słowa brat Florian, ciągnąc Jasia za sterczącą ze żłóbka nogę. – Wyłaźże szybko, bo nam Dzieciątko na placek rozgnieciesz.

Przy pomocy kolegów chłopak powoli wygramolił się na zewnątrz, postękując i rozcierając obolałe części ciała. Michał gorliwie pomagał mu doprowadzić się do porządku i wyjmując siano z włosów przyjaciela, powtarzał ze śmiechem:

– Musisz ten lot powtórzyć kiedyś, jak będziesz Chińczykom opowiadać o narodzeniu Pana Jezusa. Takiego anioła to tam jeszcze nie widzieli.

– A żebyś wiedział, że im opowiem o Panu Jezusie. I to prędzej od ciebie – odgryzał się Jan, nieskory do śmiechu, bo plecy i ich zakończenie bolały go dokuczliwie. Po czym westchnął: – Oj, nie miał Jezusek zbyt wygodnie w tym żłóbku...

Brat Florian ukrócił jednak te narzekania. Dał znak ręką – próba znów się zaczęła.

Rozdział III
W Krakowie trzeba poczekać

Hejnał grany na trąbce z wieży kościoła mariackiego spłynął na Kraków deszczem złotych nutek. Jego ton wyrwał z zamyślenia młodego zakonnika, który powoli podniósł się z kolan i z pewnym wyrzutem spojrzał na wiszący na ścianie portret świętego Franciszka Ksawerego.

– Nie pomagasz mi zbytnio… – mruknął młody jezuita w kierunku świętego, na którym te słowa nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Po chwili, nieco zawstydzony swoimi słowami zakonnik dodał pojednawczo:

– Oj, dobrze. Przepraszam, ale mógłbyś się bardziej postarać. Ileż muszę czekać, by wyruszyć do tych Chin?

Pytanie zawisło w powietrzu i nikt nie kwapił się z odpowiedzią – ani Franciszek Ksawery namalowany na obrazie, ani stojący pod obrazem Michał Boym. Kilkanaście już lat upłynęło od tamtego poranka w rodzinnej kamienicy we Lwowie, gdy jako chłopiec ślubował zostać misjonarzem. W tym czasie wyrósł, zmężniał, wyostrzyły mu się rysy twarzy, choć grzywka nadal spadała na oczy niesfornymi kosmykami. Nie jednego też się nauczył w jezuickich szkołach we Lwowie, Kaliszu, Jarosławiu i Krakowie. A teraz, kończąc studia teologiczne, czuł się już w pełni gotowy, by wyruszyć do pogańskich Chińczyków. W czarnym stroju jezuity wyglądał poważnie i czuł się poważnie, gotów do podjęcia wszelkich trudów i wyrzeczeń w imię Jezusa Chrystusa, a nawet do męczeńskiej śmierci, gdyby zaszła

taka potrzeba. Ale cóż z tego, skoro nadal brakowało mu zgody generała zakonu. Bez jego pozwolenia nic nie mógł zrobić. A rezydujący w dalekim Rzymie generał Mutio Vitteleschi nie kwapił się z odpowiedzią na błagalne listy, które Michał do niego wysyłał.

Westchnąwszy ciężko, zrezygnowanym krokiem poczłapał Michał w kierunku furty. Może nadeszły jakieś wieści z Rzymu? Oczywiście, nie nadeszły. Nadszedł za to ojciec prowincjał, Marcin Hińcza, którego Michał darzył szacunkiem niemal synowskim, odkąd znalazł się w krakowskim domu jezuitów.

– Bracie Michale, znowu wyglądasz listów z Rzymu? – dobrotliwym głosem zapytał ojciec Hińcza.

Michał w milczeniu pokiwał głową, ale po chwili tłumione uczucia wybuchły z jego ust jak potok lawy z wulkanu:

– Ojcze, ileż mam czekać? Czy generał nie zna litości? Przecież na jeden jego znak ruszyłbym do Chin – na statku, konno, a choćby nawet pieszo. Wszystko mi jedno, bylem mógł wreszcie uczyć Ewangelii tych pogańskich Chińczyków…

– Młody jesteś i niecierpliwy – przerwał mu ojciec prowincjał. – A o ile to pierwsze stanowi zaletę, drugie jest szpetną wadą. Wiesz, jak długo jedzie list do Rzymu, ile koni trzeba zmienić po drodze, ile niebezpieczeństw czeka na kurierów. A i generał Vitteleschi nie tylko twoimi prośbami zaprząta sobie głowę. Pomyśl o tym i czekaj cierpliwie.

– Ale… – Michał chciał coś powiedzieć, lecz pod surowym spojrzeniem prowincjała zamilkł.

– Żadnych „ale”, mój synu – rzekł ojciec Hińcza. – Zamiast narzekać, wykorzystaj ten czas na przygotowanie do misji.

Módl się i ucz, i rozwijaj swe talenty. Znasz się na lekach, ojciec wiele cię o nich nauczył, więc wykorzystaj tę wiedzę. Pomóż braciom w infirmerii. Ulżysz bliźnim w cierpieniu, chrześcijański obowiązek spełnisz, a i nauczysz się czegoś, co w Chinach niechybnie Ci się przyda. Pamiętaj, że Chińczycy to lud mądry, w wiedzy rozmiłowany. Jeśli chcesz tam jechać, sam musisz być mądry. *Sapere aude*, odważ się być mądrym, Michale.

– Myślisz, ojcze, że dostanę kiedyś zgodę od generała na wyjazd na Wschód?

– To wie tylko Duch Święty. I może Franciszek Ksawery, skoro osobiście wybrał cię na misjonarza – odparł z uśmiechem ojciec Hińcza. – A i ja do twych starań rękę przyłożę – wyślę list do generała i polecę cię jego uwadze.

– Dziękuję, ojcze prowincjale! – Michał gwałtownie przyklęknął na jedno kolano, aż kurz podniósł się z podłogi, i zamaszyście ucałował rękę przełożonego.

– Nie trzeba, nie trzeba – odrzekł ojciec Hińcza, klepiąc Michała po głowie. – Weź się lepiej do pracy. *Tempus fugit*. Czas ucieka.

Z tymi słowami oddalił się dostojnie w kierunku refektarza, a brat Michał jak na skrzydłach pobiegł do infirmerii, przeskakując po trzy stopnie. Odtąd codziennie ucierał maści, kręcił pigułki i usługiwał chorym współbraciom, dzieląc czas między modlitwę, pracę i naukę. Najbardziej lubił otwierać małe słoiczki i woreczki pełne suszonych ziół. Uczył się odmierzać na maleńkiej wadze szczypty proszków, mieszać je w odpowiednich proporcjach i tworzyć medykamenty na katar, kaszel oraz bóle zębów. Nie szczególnie natomiast radził sobie

z pijawkami. Te małe, czarne, oślizgłe stworzonka wywoływały w nim dreszcz obrzydzenia.

Pewnego dnia brat Medicus (prowadzący infirmerię zakonnik lubił, żeby tak się do niego zwracać) zaproponował, żeby Michał sam przystawił pijawki choremu cierpiącemu na nadmiar złej krwi.

– Czy naprawdę muszę? – zapytał Michał z trudem kryjąc obrzydzenie.

– A myślisz, braciszku, że w Chinach to mają milsze lekarstwa? – roześmiał się brat Medicus. – Może spotkasz tam konie morskie ze sterczącymi z paszczy zębiskami, których będziesz używał do leczenia krwawiących ran, albo węże z magicznymi kamieniami w głowach, co są antidotum na wszelkie ukąszenia. A tutaj lękasz się malutkich pijawek? Zobaczże, jakie są śliczne. No, do dzieła, Michale.

Mówiąc to, brat Medicus wręczył młodemu jezuicie słoik pełen falujących stworzonek.

– Raz kozie śmierć… – wyszeptał do siebie Michał i dziarsko ruszył ku posłaniu chorego. Pech chciał, że nie zauważył leżących przy łóżku pantofli. Potknął się o nie, zachwiał i łapiąc równowagę, upuścił słoik.

– Pijawki nadlatują! – krzyknął z przerażeniem pacjent, gdy słój zakreślił łuk w powietrzu i z głośnym „BRZDĘK!" rozbił się na kamiennej podłodze. Pijawki zaczęły się natychmiast szamotać konwulsyjnie wśród okruchów szkła, a największa z nich – jakby w geście zemsty – przywarła do dużego palca u prawej stopy Michała. Zaskoczony nagłym atakiem zakonnik zaczął skakać jak oszalały, próbując strącić intruza, ale była

to nierówna walka – pijawka nie zamierzała puścić. Dopiero brat Medicus uwolnił Michała od krwiożerczego przeciwnika, posypując pijawkę solą.

– Oj, dużo się jeszcze musisz nauczyć, braciszku – stwierdził brat Medicus, gdy Michał sprzątał pobojowisko, którego stał się mimowolnym sprawcą.

– Oj, muszę – westchnął Michał z pokorą.

Toteż uczył się pilnie. Czytywał też pasjami relacje misjonarzy nadsyłane z dalekich Chin, Indii i Japonii. I nie mógł się nadziwić, jak dziwne było tam wszystko, jak inne, jak niezwykłe.

Aż wreszcie pod koniec kwietnia 1642 r. przyszedł list z Rzymu. Michał złamał pieczęć, przeczytał pierwsze słowa i wybuchnął radosnym śmiechem. Padł też zaraz na kolana, by podziękować Franciszkowi Ksaweremu za wstawiennictwo. A potem zaczął pakować swój kuferek podróżny. Wreszcie wyruszał do Chin.

Rozdział IV
Lizbona pachnie oceanem

Panienko przenajświętsza, jakie to cudowne! – Michał nie mógł powstrzymać okrzyku zachwytu na widok klasztoru hieronimitów. Zatrzymał się jak wryty, bo piękno budowli zupełnie go oszołomiło.

Idący z tyłu tragarz, który dźwigał jego kufer podróżny, zahamował równie gwałtownie, a ciężki bagaż spadł mu wprost na stopę. Tragarz próbował ulżyć swemu cierpieniu, wykrzykując długą listę przekleństw, ale że robił to w języku portugalskim, Michał Boym nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Jak zauroczony przyglądał się misternym rzeźbom, zdobiącym portal kościoła hieronimitów. Wykute w białym kamieniu postaci świętych, oplecione zwojami rzeźbionych lin i gąszczem egzotycznych roślin, lśniły gładkością w ostrym słońcu, które od kilku dni ogrzewało niestrudzenie stolicę Luzytanii. Michał przybył to prosto z Rzymu, gdzie z rąk generała zakonu otrzymał błogosławieństwo przed czekającą go misją wśród Chińczyków. Teraz miał się zaokrętować na portugalską karakę, by wreszcie wypłynąć w wymarzony rejs na Daleki Wschód. Jego wędrówkę do portu przerwało jednak niezrównane piękno klasztoru, wznoszącego się nieopodal nadbrzeża.

– Toż to istna kamienna koronka... – westchnął Michał w zachwycie.

– Vasco da Gama – wymamrotał w odpowiedzi tragarz, na pozór zupełnie bez sensu, wskazując ręką wnętrze świątyni.

Ból stopy najwyraźniej już mu minął, więc postanowił pochwalić się swoją wiedzą przed tym bladym przybyszem z dalekiej północy. Boym spojrzał na niego pytająco.

– Vasco da Gama. Tam! – powtórzył tragarz i zachęcającym gestem skierował jezuitę do środka kościoła.

W pierwszej chwili Michał nie widział nic, gdyż oślepione słońcem oczy potrzebowały kilku sekund, by przyzwyczaić się do panującego w kościele mroku. Jednak już wkrótce znowu zachwyt i zadziwienie zaparły mu dech w piersiach. Smukłe kolumny, poskręcane jak potężne liny okrętowe, podpierały dach, który zdawał się odległy jak samo niebo. W dali złotym blaskiem lśniło prezbiterium – jasne od świec, zaś po swej lewej stronie Michał zauważył wielki sarkofag, pilnowany przez cztery kamienne lwy. Wyrzeźbiony na nim mężczyzna, ubrany z szlachecka, w szerokim kapeluszu na głowie, spał spokojnie kamiennym wiecznym snem.

– Vasco da Gama, odkrywca Indii, żeglarz nieustraszony – wyszeptał Michał z przejęciem. Pełen niespodziewanej trwogi i lęku przyklęknął i przyglądał się wydętym przez wiatr żaglom okrętu, wyrzeźbionego na boku katafalku. Wydawało mu się, że statek zachwiał się na wzburzonych falach, że jego dziób zawisł w powietrzu uniesiony przez morskie bałwany. Niemal poczuł na policzku wilgoć rozbryzgującej się piany.

– Czy właśnie tak będzie wyglądała moja podróż? – zapytał półgłosem, ale Vasco da Gama nie kwapił się z odpowiedzią.

Za to portugalski tragarz dość już miał czekania. Zajrzał do kościoła, potrząsając głową z dezaprobatą.

– *Rápido, rápido*! Szybko, szybko! Statek czeka! – swoje

okrzyki podkreślał gwałtownymi gestami, jak na południowca przystało.

– Ano, czeka – zgodził się Michał, z nabożeństwem wykonując znak krzyża i w myślach już kończąc modlitwę o zbawienie duszy Vasco da Gama. Po czym szybkim krokiem podążył za swoim pomocnikiem na nabrzeże.

Kręcił się tam tłum ludzi zaaferowanych przygotowaniami do rejsu oraz zwykłych gapiów, ciekawych widoku marynarzy, pasażerów a nade wszystko chwili, gdy wiatr wypełni żagle i statek majestatycznie popłynie ku ujściu Tagu, ku oceanowi i dalekim Indiom. Tylko raz do roku, na przełomie marca i kwietnia, flotylla królewska wyruszała z Lizbony do zamorskich prowincji i nikt z mieszkańców stolicy nie chciał przegapić tej atrakcji. Gdy nadszedł wreszcie ten dzień, wszyscy kłębili się w porcie, a gwar rozmów widzów mieszał się z pokrzykiwaniami marynarzy i wrzaskiem mew.

– Co za zapach! – wykrzyknął Michał, wciągając w płuca głęboki haust powietrza. – Tak pachnie ocean. Tak pachnie przygoda!

Przejęty bliską chwilą pożegnania z lądem, szybkim krokiem skierował się ku łączącemu statek z nadbrzeżem trapowi, zgrabnie odnajdując przejście wśród zgromadzonej ciżby. Jego tragarz, sapiąc coraz głośniej pod ciężarem kufra, przepychał się tuż za nim, rozdając na boki kuksańce i przekleństwa.

– Chyba dobrze, że cię nie rozumiem, przyjacielu, bo raczej nie wykrzykiwałeś przed chwilą na cześć Najświętszej Panienki... – zwrócił się Michał z uśmiechem do poczerwieniałego z wysiłku tragarza, gdy zatrzymali się obok trapu. Jeden z marynarzy bez słowa zarzucił sobie kufer jezuity na ramię i pewnym krokiem wbiegł na pokład.

– Dziękuję ci za pomoc, przyjacielu – Michał Boym poklepał tragarza po ramieniu. – I żegnaj. Czekają na mnie Chiny.

Już miał wejść na trap, gdy pytające spojrzenie i wyciągnięta ręka tragarza uświadomiły mu, że ten spodziewa się zapłaty za swą usługę. Michał ze śmiechem wywrócił kieszenie swej czarnej sutanny.

– Niestety, nie mam pieniędzy. Misjonarz jest wolny od ciężaru sakiewki i wszelkich dóbr doczesnych. Jesteśmy jak ptaki w niebiesiech i lilie polne. Ale żebyś mnie źle nie wspominał, weź proszę ten chlebek, który mi został z dzisiejszego śniadania. Smacznego i bądź zdrów!

Z tymi słowami wręczył nadłamany bochenek chleba zdumionemu tragarzowi, uściskał go serdecznie i dziarsko wszedł na trap. Zakołysał się nieco, ale po chwili odzyskał równowagę i nie oglądając się za siebie, pomaszerował na pokład, na dziób okrętu – żeby jak najszybciej zobaczyć ocean.

Tragarz wpatrywał się jak oniemiały w połówkę chleba, który trzymał w ciągle jeszcze wyciągniętej ręce. W tej chwili nad jego głową zatrzepotały skrzydła mewy. Ptak chwycił chleb w szpony, porwał go i odleciał wysoko nad maszty okrętu, pokrzykując z radością. Kotwica statku z wolna ruszyła w górę. Tragarz z pełnym rezygnacji uśmiechem machnął pustą ręką. Nie zarobił nic tego ranka, a jednak z życzliwością spojrzał na malejącą z każdą chwilą sylwetkę jezuity, gdy statek mijał już Torre de Belém.

– Szczęśliwej żeglugi, ptaku niebieski – wyszeptał. – I niech Cię strzeże Najświętsza Panienka. Jej opieka na pewno przyda ci się na oceanie.

Rozdział V
Chwiejne deski pokładu

Ocean był niezmierny. Wzrok skierowany w którąkolwiek stronę nie znajdował żadnego punktu zaczepienia aż po linię horyzontu. Zmieniały się tylko barwy wody, która bogactwem odcieni przypominała paletę malarską, przechodząc od złocistego różu po głęboką czerń zależnie od słońca oraz pór dni i nocy – wszystkich tych dni i nocy, które upłynęły od wyjścia z portu w Lizbonie.

Michał Boym zajął swe ulubione miejsce na dziobie okrętu. Stojąc tam, miał niekiedy wrażenie, że frunie w powietrzu, gdy gnany pomyślnym podmuchem statek lekko kołysał się na falach. Wiatr rozwiewał mu grzywkę, kazał mrużyć oczy, wyciskał łzy, unosił. Jezuita właśnie powtarzał w myślach słowa pierwszego kazania, jakie zamierzał wygłosić wobec Chińczyków, gdy usłyszał wołanie:

– Padre Michael! Padre Michael!

Obrócił się gwałtownie i niemal zderzył z nadbiegającym chłopcem okrętowym, José, który (o ile obowiązki mu na to pozwalały) był w czasie rejsu jego nieodłącznym towarzyszem. José miał lat piętnaście, z czego niemal połowę spędził na pokładach różnych statków, toteż był niezastąpionym przewodnikiem dla „szczura lądowego", jak niekiedy w żartach nazywał polskiego zakonnika. To on uczył Michała Boyma, jak przepowiadać zmianę pogody po wyglądzie chmur, które gwiazdy należy obserwować, by nie zboczyć z kursu i gdzie

na zatłoczonym pokładzie znaleźć najbardziej zaciszne i osłonięte od wiatru schronienie. Czasem José pokazywał jezuicie, jak szybko i sprawnie wspiąć się na najwyższą reję, ale kiedy Michał próbował pójść w jego ślady, chłopak powstrzymał go ze śmiechem:

– Lepiej zejdź, padre, bo jeśli ktoś z dala zobaczy na maszcie twoją powiewająca sutannę, gotów pomyśleć, że to piracka flaga, a wtedy kłopoty gotowe. Zwłaszcza że twarz masz od kiwania okrętu bladą jak trupia czaszka!

Zakonnik posłuchał tej rady natychmiast, bo rzeczywiście tam w górze kiwało jakoś mocniej. Teraz José nadbiegł, lawirując zręcznie między skrzyniami, zwojami lin i podróżnymi, którzy zdawali się zapełniać szczelnie cały pokład. Wymachiwał przy tym rękoma, wyraźnie podniecony.

– Padre Michael! *Baleias*! *Baleias*!

Choć Michał nie zrozumiał portugalskiego słowa, widząc poruszenie chłopaka, pospieszył za nim ku prawej burcie. Tam ich oczom ukazał się niezwykły widok. Niemal na linii horyzontu wynurzały się z wody i opadały w nią wielkie, szare, zwaliste stwory, wytryskujące co chwila fontanny wody w powietrze. Z tej odległości trudno było ocenić ich rzeczywisty rozmiar, ale Michał pojął, że czegoś tak wielkiego jeszcze w swym życiu nie widział.

– O dobry Boże, potwory morskie... – jęknął, wpatrując się w lśniące cielska, tańczące dziwny taniec. Było to fascynujące widowisko, zaskakująco piękne i pełne majestatu. – A raczej – cudowne stworzenia Boże – dodał Michał po chwili zastanowienia i zwrócił się do towarzysza:

– José, cóż to takiego?

Chłopak, dumny z wrażenia, jakie ten niezwykły spektakl wywarł na jezuicie, wyprężył pierś i głośno powtórzył:

– *BALEIAS*!

– *Baleias*? Ach, tak! Wieloryby! Czytałem o nich w listach brata Wojciecha Męcińskiego. Jakże niezwykłe są dzieła Boże! Pięknie się poruszają, ale czy aby nie są dla nas groźne? Nie wywrócą statku?

José uśmiechnął się pobłażliwie i pokręcił przecząco głową. „Ależ tchórzliwy jest ten szczur lądowy" – pomyślał. Ale nie powiedział tego głośno, bo bardzo lubił ojca Michała.

– Niebezpieczne to są tamte chmury – odpowiedział po chwili, już bez cienia uśmiechu, spoglądając ku zachodowi. – Najdalej za dwie godziny będziemy tu mieli niezły sztorm. Lepiej się przygotuj, padre. I dobrze pomódl, bo możemy potrzebować pomocy Opatrzności.

***

Dwie godziny później ojciec Michał nie szczędził modłów, wierząc, że chociaż w ten sposób może pomóc walczącym z nawałnicą marynarzom. Statek skrzypiał, trzeszczał i jęczał, szamotany przez potężne fale. Ściany wody napierały na niego ze wszystkich stron i trudno było rozróżnić, co jest falą, a co strugą deszczu. Przerażenie potęgowały błyskawice, rozdzierające niebo przeszywającym blaskiem, który wyjątkowo wyraźnie pozwalał dostrzec, jak kruchy jest okręt wobec szalejących żywiołów – łupinka orzecha w śmiertelnej kipieli.

Jezuita udzielił już na wszelki wypadek ostatniego namaszczenia dziesiątce skulonych w pobliżu współpasażerów, a teraz powtarzał nieprzerwanie łacińskie pacierze, by wlać otuchę w swoje i ich przerażone serca. Odmawiane bez ustanku *Pater noster* stopniowo przyniosło zakonnikowi nieco otuchy. Rozejrzał się, a widząc pobladłe ze strachu lub pozieleniałe od choroby morskiej twarze towarzyszy podróży, ze względu na nich postanowił nie poddać się panice.

– Nie lękajcie się! – zawołał. – Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam? Kapitan pewną ręką dzierży ster, a z nieba czuwa nad nami święty Franciszek Ksawery. On poprowadzi nas bezpiecznie aż do Indii. Pomódlmy się! – i zaintonował litanię do wszystkich świętych. Drżące głosy skulonej wokół niego grupki z wolna dołączały do modlitwy. Przy wezwaniu do świętego Macieja brzmiały już trochę pewniej, zaś przy wezwaniu do świętej Cecylii uspokoiły się niemal zupełnie, zwłaszcza że grzmoty burzy cichły z wolna, a fale stawały się nieco mniejsze.

– Ileż bym dał, żeby morze było gładkie jak stół! Żeby nie wiał najmniejszy nawet wiaterek! – wyjęczał skulony w pół mężczyzna, który przez cały sztorm wymiotował ciężko, oddając szalejącym falom swój obiad, śniadanie i wczorajszą kolację.

– Obyś nie rzekł tego w złą godzinę! – odparł José. Wydawało się, że na nim nawałnica nie wywarła najmniejszego wrażenia. Stał na chwiejącym się pokładzie, w naturalny sposób utrzymując równowagę, uśmiechnięty od ucha do ucha. – W tym rejonie często wiatr nagle ustaje i trzeba tygodniami czekać na najlżejszy powiew. A uwierz mi – to jeszcze gorsze od tej niewinnej huśtawki, którą zafundowali nam bogowie morza.

Po czym zwrócił się do Michała:

– No, padre, przeszedłeś prawdziwy morski chrzest. Chyba powinieneś otrzymać nowe imię, godne wilka morskiego.

Michał nie odpowiedział. Teraz on, przewieszony w połowie przez burtę, rozstawał się z treścią ostatnich kilku posiłków.

***

José miał rację – flauta była po stokroć gorsza niż sztorm. Od wielu dni tkwili w bezruchu, wystawieni na palące słońce, pozbawieni najdelikatniejszego choćby tchnienia wiatru. Wydawało się, że świat zastygł, obezwładniony słonecznym żarem. Żagle od tygodni zwisały smętnie z masztów. Ludzie, otępiali od gorąca, w rozchełstanych ubraniach lub zgoła półnadzy, szukali najmniejszego skrawka cienia, który ochroniłby ich przed skwarem. Pozbawieni zajęcia marynarze coraz łatwiej wszczynali bójki, niemal szukając pretekstu do bijatyk – jedynej dostępnej formy rozrywki.

Najczęściej do zaczepek i przepychanek dochodziło przy rozdziale racji żywności i wody. Michał właściwie dziwił się, że nawet to obrzydliwie słone mięso i woda, która swoim zapachem i smakiem przypominała portowy ściek, mogą wywoływać wśród pasażerów tak wielkie, a przy tym złe emocje. On sam, gdy napięcie narastało, wolał usunąć się na bok, często rezygnując z należnych mu racji jedzenia lub oddając je tym, którzy byli w potrzebie. Wychudł przez to jeszcze bardziej, rysy mu się wyostrzyły, policzki zapadły i ogorzały od słońca. Ciemny, niegolony od dawna zarost – należało wszak oszczędzać wodę

– nadawał mu wygląd prawdziwego wilka morskiego. Czarną sutannę nosił jednak starannie zapiętą i z całego serca starał się zachować swą kapłańską godność, gdy morale pozostałych podróżnych słabło z każdym dniem. Pomagał im też jak mógł, zwłaszcza pielęgnując chorych. A tych ciągle przybywało, gdyż zabójczy klimat i brudna woda, jaką musieli się zadowolić, wywołały na statku epidemię. Jakże Michał błogosławił teraz nauki brata Medicusa oraz lecznicze ziołach, których zapas przekazał mu ojciec!

– Póki święty Franciszek Ksawery zerka na mnie z góry, a mieszki z lekami nie są puste, nie można tracić nadziei – powtarzał sobie po wielokroć w duchu.

I widać miał rację, bo któregoś dnia żagle załopotały wreszcie od nagłego podmuchu wiatru, nadęły się jak białe pierzyny wypchane gęsim puchem i statek ruszył w dalszą żeglugę – wokół przylądka Dobrej Nadziei, ku Mozambikowi.

Rozdział VI
Polowanie na hipopotamy w Mozambiku

Mozambik to mała wyspa, której obwód mierzy jedną milę włoską. Obfituje w piasek i słoną wodę morską. Rosną tu palmy rodzące kokosy, nazywane inaczej orzechami indyjskimi. Sam kokos jest wielkości mojej głowy i nie ma wewnątrz jądra, jak nasze orzechy, lecz kiedy owoc jest jeszcze niedojrzały, ma w sobie wodę słodko–kwaskowatą, tyle co w zwykłym kielichu. Na upały pod wieczór to wyjątkowo orzeźwiający napój... – pisał Michał w liście do swego współbrata Grzegorza Cieślaka. Był początek stycznia 1644 roku, dzień chylił się ku wieczorowi, ale upał nie zależał ani trochę.

– Uff, przydałoby się nieco napoju z kokosa... – westchnął jezuita, ocierając zroszone potem czoło i odkładając pióro. – Czas na odpoczynek.

Mimo niezmiennie wysokiej temperatury pobyt w Mozambiku przyniósł mu ukojenie po trudach podróży morskiej. Świeża woda i jedzenie (ach, jakże pyszne było portugalskie bacalhau!), a nade wszystko możliwość kąpieli zrekompensowały mu niedostatki ostatnich miesięcy. I jak miło było poczuć pod stopami stały ląd! Choć, mówiąc szczerze, jeszcze przez kilka dni po zejściu z pokładu Michał miał wrażenie, że ziemia kołysze mu się pod nogami w miarowym rytmie morskich fal.

Teraz, obmywszy twarz wodą, Michał postanowił wyjść na wieczorną przechadzkę. Jak co dzień chciał rozejrzeć się

nieco po wyspie, licząc, że znajdzie możliwość, by popłynąć na afrykańskie wybrzeże, do krainy Kafrów, którą dotąd znał tylko z opowieści mieszkających tu Portugalczyków. Wcisnął na głowę kapelusz – mizerną ochronę przed palącym nadal słońcem – i wyszedł z budynku jezuickiego kolegium w parny świat. Niemal natychmiast poczuł, że cały lepi się od potu, ale nic na to nie mógł poradzić – sutanna musi być zapięta pod samą szyję. Z odrobiną zazdrości spojrzał na dwóch czarnoskórych mężczyzn, których niemal nagie ciała, przewiązane tylko od pasa do kolan krzykliwie kolorowymi materiami, nie dusiły się pod osłoną ubrań, za to lśniły pięknie nasmarowane tłuszczem. Minęli go, rozmawiając w swoim niezwykłym języku, co chwila powtarzając głośno: „Uuu...", co – jak już wiedział – było oznaką wielkiego zainteresowania. Gdy odprowadzał ich wzrokiem, drogę zastąpił mu ubrany z europejska mężczyzna.

– Witaj, padre Michael! – portugalski szlachcic pozdrowił jezuitę, zdejmując z głowy kapelusz z ozdobnym piórem.

– Witaj, senhor – Michał odwzajemnił powitanie, rozpoznając w swym rozmówcy Don Manuela, jednego z miejscowych szlachciców, poznanego w czasie obchodów Bożego Narodzenia.

– Przyglądasz się dzikusom, ojcze? – zagadnął mężczyzna. – Czy to nie wstyd i obraza dla Boga, że tak chodzą po świecie półnago?

– Nie nazywaj Kafrów dzikusami, senhor. To ludzie tacy jak my, stworzeni na Boży obraz i podobieństwo, a że cieplej tu niż na naszej północnej półkuli, więc i stroje są lżejsze. I czyż to nie dowód najwyższej mądrości Bożej, że Kafrom dzięki czarnej skórze i gęstym włosom słońce nie szkodzi, a my musimy się

przed nim chronić? Szczerze mówiąc, chętnie bym poszedł w ich ślady, ale osoba duchowna nie może zdjąć sukni... – odparł życzliwie zakonnik.

– Jak tam ojciec uważa – mruknął szlachcic, przyglądając się jezuicie spod oka. – Ale skoroś, ojcze, taki Kafrom przychylny i ciekawy ich życia, to zapraszam jutro na łowy na grubego zwierza. Widział kiedy ojciec konia morskiego?

– Żywego jeszcze nigdy. Ovidor, sędzia miejski, przysłał mi do kolegium odciętą głowę tego stworzenia. Mierząc ją od pyska w kierunku łopatek, ustaliłem, że miała trzy łokcie długości. Z dolnej szczęki wystawały dwa wielkie, zakrzywione zęby, i tyle samo z górnej – choć nieco mniejsze. A w dolnej szczęce były jeszcze dwa proste zęby, sterczące do przodu. No i ten szeroki jęzor... – opisywał z zapałem Michał.

– Widzę, że z ojca prawdziwy naukowiec. To jutrzejsza wyprawa na pewno się ojcu spodoba. Proszę przyjść o świcie do portu. Popłyniemy na wybrzeże Afryki, a tam zapolujemy na konie morskie. Zobaczy ojciec, co potrafią zdziałać Kafrowie i ich dzidy. I niech ojciec lepiej nie chodzi o zmierzchu w pobliżu cmentarza. Ponoć wieczorną porą, gdy dzwony biją Ave Maria, tygrysy wychodzą z lasu, przybywają na cmentarz, wygrzebują pogrzebane tam trupy i pożerają je nocą.

– Tygrysy? – zapytał Michał, rozglądając się trwożnie dookoła.

– Ano, tygrysy – odpowiedział z uśmiechem don Manuel, zadowolony że wystraszył nieco zakonnika. – Zatem do zobaczenia jutro w porcie. *Boa noite*, padre! Dobrej nocy, ojcze!

– *Boa noite*! – odparł Michał i śpiesznym krokiem udał

się do kolegium. Wolał uniknąć spotkania z tygrysem, nawet jeśli – z tego co słyszał – tygrysy w Afryce nie występowały.

***

Całą noc śniły mu się konie morskie. Wiedział, że z grecka przezwano je hipopotamami – „rzecznymi końmi", bo niczym konie parskały i rżały w rzekach. W jego śnie jednak przede wszystkim szczerzyły do niego zęby i to z bardzo bliska, co wcale nie wyglądało przyjaźnie. I miały zdecydowanie nieświeży oddech. Toteż Michał poczuł dużą ulgę, gdy przebudził się ze snu, choć do świtu zostało jeszcze sporo czasu.

W porcie bez trudu odnalazł znajomego szlachcica i jego łódź. A kiedy obaj usadowili się wygodnie na ławie, dwudziestu rosłych czarnoskórych niewolników chwyciło za wiosła i łódź skierowała się ku majaczącemu w oddali wybrzeżu Afryki. Gdy dopływali już do płycizny, ich oczom ukazała się wielka szara głowa z maleńkimi uszkami, spoglądająca na nich z odległości nie większej niż rzut kamieniem.

– Hipopotam, hipopotam! – rozległ się szmer wśród wioślarzy, którzy wcześniej od Europejczyków zauważyli obserwujące ich zwierzę i teraz pokazywali je sobie palcami. Po chwili Michał Boym również dostrzegł paszczę hipopotama, tym razem rozdziawioną na oścież, zupełnie jak w jego śnie. Z paszczy tej dobył się głos – ni to ryk, ni to rżenie, na który natychmiast odpowiedziały inne, podobne głosy. Michał przyjrzał się uważniej falom i dostrzegł, że nieopodal łodzi pływa całe stado hipopotamów, baraszkujące rozkosznie w coraz płytszej wodzie.

– Dziesięć, jedenaście, dwadzieścia dwa, trzydzieści pięć, czterdzieści siedem, bez mała pięćdziesiąt! – wykrzykiwał jezuita, oglądając się na wszystkie strony i próbując policzyć, ile zwierząt ich otacza. Nie było to łatwe, ponieważ co chwila kolejne łby, grzbiety i zady wynurzały się i zanurzały ponownie, co sprawiało uciechę patrzącym, ale nie ułatwiało rachunków.

– Usiądź, padre, bo biegając od burty do burty wywrócisz łódź i wszyscy skończymy w paszczach morskich koni – uspokajał go don Manuel. – Lepiej spójrz, jak Kafrowie polują na te bestie.

Przytrzymany za skraj sutanny Michał usiadł na ławce, a wówczas wskazany przez Portugalczyka niewolnik podniósł z dna łodzi dzidę, uniósł ją nad głowę pewnym, wyćwiczonym gestem i wymierzył w kierunku przepływającego w pobliżu zwierzęcia. A potem nastąpił ruch tak szybki, że niemal niewidoczny i dzida utkwiła we łbie hipopotama, dokładnie między jego oczami. Bestia szarpnęła się gwałtownie, zakotłowała wodę łapami i po chwili ucichła. Choć nadal unosiła się na wodzie, jednak z jej paszczy nie dobiegało już radosne rżenie. Jezuita przyglądał się tej krótkiej scenie z podziwem, ale i ze smutkiem. Tymczasem zwycięski Kafr odbierał pochwały od swych towarzyszy, bezgranicznie dumny z dokonanego czynu.

– Hipopotam bardzo dobry – rzekł z zadowoleniem do Michała, pokazując w uśmiechu lśniące białe zęby. – Dużo mięsa do jedzenia, dużo twardej skóry, dużo zębów do sprzedania i dużo włosów na bransoletki – wyliczał na palcach korzyści, jakie on i jego towarzysze będą mieli z zabitego zwierzęcia. Jezuita uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Zabierzemy go ze sobą? – zapytał szlachcica, wskazując ruchem głowy unoszącego się na wodzie hipopotama.

– Nie, trzeba odczekać, żeby mieć pewność, że jest martwy. Kafrowie popłyną po niego później – odrzekł Portugalczyk. – A może chciałbyś, ojcze, spróbować rzutu dzidą? Sporo bestii jeszcze zostało przy życiu.

Michał w milczeniu pokręcił głową, więc na znak szlachcica niewolnicy ponownie chwycili za wiosła i już po chwili dobijali do plaży. Łódź zaryła w piaszczystym dnie, a Kafrowie sprawnie wyskakiwali do płytkiej wody i brodząc w niej po kolana przenosili na brzeg skrzynki i pakunki. Szlachcic również zręcznie przekroczył burtę, po czym nie zważając na zalewającą mu buty wodę, żwawo pomaszerował w kierunku suchego lądu. Zapewne robił tak nie raz i nie dwa.

Dla jezuity była to jednak zupełna nowość. Niepewnie oparł prawą stopę o brzeg burty łodzi i trzymając się kurczowo oburącz dulki od wioseł, próbował przerzucić lewą nogę na drugą stronę. Niestety, w tym momencie zaplatał się w połach obszernej sutanny, która dodatkowo zahaczyła o wystającą dulkę i z efektownym „CHLUP!" Michał Boym wylądował w płytkiej wodzie. Zanurzył się cały, zakrztusił, zapiekła boleśnie ręka, którą spadając najwyraźniej zranił o jakiś wystający gwóźdź. Szybko jednak wystawił głowę nad powierzchnię, parskając i plując na boki słoną wodą. Mokre włosy oblepiły mu twarz, a czarna sutanna unosiła się majestatycznie na falach, wydęta jak zad sporego hipopotama. Na ten widok Kafrowie co do jednego ryknęli śmiechem. Trzymali się za brzuchy, klepali po udach i z głośnym rechotem pokazywali palcami nieszczęsnego

zakonnika, który próbował odzyskać oddech i wstać z kolan. Na szczęście w sukurs przyszedł mu don Manuel, który pomógł się jezuicie podnieść i schwytać odpływający kapelusz.

– Zaiste, takiego konia morskiego na tym wybrzeżu jeszcze nie widziano – żartował szlachcic dobrotliwie, prowadząc upokorzonego i ciągle kaszlącego jezuitę w kierunku plaży. – Prawdopodobnie Kafrowie ułożą o ojcu pieśń i będą ją śpiewać przy ogniskach jeszcze przez wiele lat.

– Byle rymy dali ładne, gniewać się nie będę – odrzekł Michał, wybuchając śmiechem. – Pięknie się pokłoniłem afrykańskiej ziemi, nie ma co.

– I pięknie ojciec parskał. Hipopotamy mogłyby się od ojca wiele nauczyć – wtórował mu śmiechem don Manuel. – Na szczęście choroba żadna ojcu nie grozi, bo jest tak ciepło, że ubrania zaraz obeschną. Pójdziemy odpocząć w wiosce, w chatce, którą mam tu niedaleko. Ja pozałatwiam swoje interesy, a ojciec będzie mógł poobserwować sobie życie dzikusów, to jest – Kafrów... – perorował szlachcic, prowadząc jezuitę ścieżką wśród oszałamiającej afrykańskiej zieleni. – A z tą krwawiącą ręką to ma ojciec szczęście, że nie jesteśmy w Amazonii. Zawiodły mnie tam prądy morskie w czasie podróży do Mozambiku i widziałem tamtejsze rybki, co na sam zapach krwi zjawiają się w wodzie całymi chmarami. I nawet nędznej kosteczki z ofiary nie zostawią. Tak, zjedzą krowę z kopytami, jak się nadarzy. Piranie je zwą. To już lepsze hipopotamy, jak mi Bóg miły...

Oszołomiony paplaniną szlachcica, Michał dał się potulnie prowadzić do wioski Kafrów, gdzie pozwolono mu odpocząć w niskiej chatce krytej palmowymi liśćmi. Wódz

wioski, najwyraźniej dobrze znający don Manuela, przyjął jezuitę gościnnie, a na widok jego krwawiącej wciąż dłoni zdjął ze swej szyi wisiorek i zawiesił go na piersi Michała.

– Ząb hipopotama – wyjaśnił wódz, wskazując na wisiorek. – Najlepszy lek na rany. Zatrzymuje krew.

Jezuita przeniósł wzrok z wisiorka na swą dłoń. Krwawienie ustało niemal całkowicie, a po chwili rana się zasklepiła. Z niedowierzaniem spojrzał więc na wodza, oczekując wyjaśnień, ale ten tylko pokiwał głową i powtórzył: „Najlepszy lek na rany." Po czym majestatycznie oddalił się w kierunku własnej chatki.

Zostawiony samemu sobie Michał zaczął przyglądać się życiu Kafrów i ich otoczeniu. Szczęśliwie papier, który zabrał do wykonywania notatek, nie zamókł w czasie feralnego upadku i teraz misjonarz mógł w spokoju opisywać dziwne kształty i smaki afrykańskich roślin, plemienne obyczaje i scenki rodzajowe. Dużo czasu spędził opodal pólka, na którym czarnoskóre kobiety uprawiały proso. Wszystkie miały na plecach przywiązane chusty, a w nich umieszczone niemowlęta, śpiące lub płaczące, co nie robiło ich matkom większej różnicy. Gdy kobiety pochylały się rytmicznie, uderzając graczkami w wysuszoną ziemię, dzieci na ich plecach w tym samym rytmie uderzały noskami w matczyne plecy.

– A więc to z tego powodu wszyscy Kafrowie mają spłaszczone nosy! – roześmiał się jezuita, przyglądając się monotonnej pracy kobiet. Właśnie miał to zapisać, gdy jego obserwacje przerwało nawoływanie don Manuela:

– Padre Michael, proszę wracać. Koń morski czeka!

Idąc za głosem szlachcica, Michał dotarł do chatki, przed którą leżało cielsko zabitego rankiem hipopotama.

– Piękny okaz – zachwycał się don Manuel. – Nieźle się niewolnicy natrudzili, by go tutaj dowlec. Proszę spojrzeć na tę skórę na grzbiecie – twarda nie do przebicia.

Szlachcic krążył wokół zwierzęcia, pokazując to tę, to inną część jego ciała, podczas gdy Kafrowie już zręcznymi ruchami dzieli mięso i wyrywali zęby. Michał nie bardzo chciał przyglądać się tym działaniom, ale nie wypadało się oddalić. Zwłaszcza że jeden z niewolników wręczył jezuicie największe zęby oraz spory kawał mięsa, mówiąc:

– Smaczne, dobre mięso, lepsze niż mięso człowieka.

– CO TAKIEGO? – zawołał Michał ze zgrozą. – Jadłeś mięso człowieka?

– Tak, pieczone – odpowiedział ze spokojem Kafr.

– Ile razy? – jezuita nie chciał wierzyć własnym uszom.

– Dwa razy. Raz głowę jednego, innym razem nogi drugiego.

– Ja jadłem pieczonego człowiek trzy razy – wtrącił się do rozmowy inny Kafr. – Ale mięso hipopotama jest smaczniejsze – dodał z szerokim uśmiechem.

Michał wzdrygnął się z obrzydzenia. Zbierało mu się na wymioty. Przysłuchujący się tej rozmowie don Manuel poklepał go uspokajająco po plecach.

– Nie przejmuj się, ojcze. Gwarantuję, że dziś na obiad nie będzie żadnych pieczeni. W zamian za to proponuję ci ananasa. Jak tylko popróbujesz tego niezwykłego owocu, sam mi przyznasz, że nie ma na świecie nic smaczniejszego. Osobiście

podejrzewam, że pramatka Ewa nie skusiła się w raju na jakieś tam jabłko, tylko właśnie na ananasa. Mówię ojcu – jest to owoc wart grzechu...

Z tymi słowami Portugalczyk odprowadził jezuitę z dala od martwego cielska hipopotama. Michał jednak niemal nie słyszał wesołej paplaniny, która miała odwrócić jego uwagę od opowieści Kafrów. W głowie kołatało mu się bowiem tylko jedno pytanie, dotyczące jego przyszłości: „Czy Chińczycy również są kanibalami?"

Rozdział VII
W Makau wszystko jest inne

Port pachniał rybami. I jeszcze czymś innym, o wiele przyjemniejszym, nieco cierpkim, nieco słodkim. Michał z oszołomieniem rozglądał się wokół siebie. Dopiero przed chwilą zszedł z pokładu statku, który szczęśliwie dowiózł go z Indii do chińskiego wybrzeża. Wokół niego stały dziesiątki łodzi wypełnionych rybami, które wkrótce miały trafić na targowisko. Ryby trzepotały ogonami, błyskały srebrzyście łuskami, podrygiwały w śmiertelnym tańcu. Obserwowanie ich smukłych ciał byłoby bardzo przyjemne, gdyby nie okropny zapach.

Michał Boym myślał, że po tylu tygodniach spędzonych na morzu, po rejsach z Lizbony do Mozambiku, z Mozambiku do indyjskiego Goa, z Goa do chińskiego Makau, przyzwyczaił się już do wszystkich morskich woni. Jednak to doznanie przekraczało jego możliwości. Zakręciło mu się w głowie i poczuł przypływ mdłości, ale gdy pochylił się, obejmując oszalały nagle żołądek, z pobliskiej łodzi spojrzało na niego oko sporej ośmiornicy. Michał cofnął się gwałtownie. Wpadł na kosz pełen różowo–złocistych krabów, a te rozsypały się po ziemi z głośnym klekotem. Właściciel kosza, stary Chińczyk o długich siwych wąsach, rzucił się zbierać cenną zawartość, biadoląc przy tym głośno. Michał próbował pomóc, ale Chińczyk rzucił mu groźne spojrzenie i kilka jeszcze groźniej brzmiących słów, więc szybko się wycofał. Na szczęście tym razem oparł się plecami o jakiś budynek, a dobywający się

z niego zapach kadzideł i trociczek zdusił wszechobecną woń owoców morza.

Jezuita przymknął powieki. Wziął kilka głębokich wdechów i poczuł, że jego żołądek trochę się uspokoił. Z westchnieniem ulgi otworzył oczy. I wrzasnął głośno. Obok jego głowy otwierała się przerażająca paszcza.

– *Noli timere, pater*. Nie bój się, ojcze – spokojne słowa, wypowiedziane w zrozumiałym języku łacińskim, a także mocny uścisk dłoni powstrzymały Boyma od ucieczki. – To tylko chiński smok. Rzeźba, która strzeże świątyni. Dla Chińczyków smoki to symbole szczęścia – wyjaśniał z uśmiechem młody Chińczyk, klepiąc Michała uspokajająco po ramieniu.

– Mattias, jak dobrze cię widzieć – Michał ciężko oparł się na podanym sobie ramieniu. – Gdzie zniknąłeś?

– Poszedłem po twoje bagaże, ojcze. A teraz zaprowadzę cię do kolegium, gdzie czekają wszyscy jezuici.

– Dziękuję, że po mnie przyszedłeś. I dziękuję, że mówisz po łacinie, bo chińskiego nie rozumiem ani w ząb i pewnie nigdy się nie nauczę.

– Jeśli ja nauczyłem się łaciny, to i ty nauczysz się chińskiego, ojcze – roześmiał się Mattias.

– Długo musiałeś się uczyć?

– Parę lat. Od kiedy przyjąłem chrzest święty i wstąpiłem do jezuickiego nowicjatu – wyjaśnił młody Chińczyk, prowadząc Boyma stromymi, zatłoczonymi uliczkami, coraz dalej od portu.

Z niskich domków wychylały się zaciekawione twarze. Mieszkańcy Makau obserwowali tę niezwykłą parę – Chińczyka w europejskim stroju, dźwigającego wielką skrzynię i towarzy-

szącego mu wysokiego, bladego Europejczyka, wyższego co najmniej o głowę od wszystkich mijanych osób. Obaj wyglądali równie egzotycznie i właściwie doskonale pasowali do klimatu Makau, gdzie Wschód i Zachód spotykały się ze sobą, odkąd na chińską ziemię przybyli portugalscy żeglarze.

Michał sadził długie kroki, rozglądając się ciekawie dookoła. Za misjonarzem biegł rosnący tłumek dzieci, które ciągnęły misjonarza za czarną sutannę i przedrzeźniały jego zamaszysty krok. Michał nie chciał i nie musiał się od nich opędzać – wystarczyło, że spojrzał swymi soczyście zielonymi oczami, a już dzieciaki rozpierzchały się na wszystkie strony z głośnym chichotem, trochę zaskoczone, a trochę wystraszone niezwykłą barwą oczu cudzoziemca. Jezuita był równie zadziwiony wszystkim, co go otaczało – bo wszystko tu było zupełnie inne niż w Europie.

– Gdyby moja mama mogła zobaczyć te cuda... – westchnął, spoglądając na uliczny stragan, uginający się pod ciężarem owoców o niezwykłych kształtach i kolorach. – Czy to w ogóle da się jeść? – to pytanie skierował do Mattiasa, wskazując podłużny różowy owoc o sterczących na boki wąsach.

– Oczywiście! Nazywamy go smoczym owocem. Jest bielutki w środku i słodki jak samo niebo, a przy tym bardzo orzeźwiający – wyjaśnił młody Chińczyk. – Prawie wszystkie nasze owoce są przepyszne, ale jeśli chciałbyś spróbować tamtego, to lepiej zatkaj nos.

Mattias wskazał na leżące z dala od straganu owoce. Wyglądały jak zwinięte w kulkę jeże.

– Dlaczego? – zapytał Michał, pochylając się ku kolczastemu stosikowi, ale gdy tylko zbliżył nos do owoców, wrzasnął

ze wstrętem. Odskoczył i zaczął gwałtownie się wachlować, żeby odpędzić obrzydliwy zapach, który wwiercał mu się w nozdrza.

– To durian – wyjaśnił Mattias, krztusząc się ze śmiechu. – Jego smak jest rajem, ale zapach to piekło, jak powiadają starzy mandaryni. W szkole podrzucaliśmy go czasem nauczycielowi, gdy zbytnio dręczył nas nauką kaligrafii.

– Nigdy się nie odważę go spróbować!

– Nigdy nie mów „nigdy", ojcze Michale. Chiny na pewno jeszcze nie raz cię zaskoczą, więc lepiej się na to przygotuj. A oto już kościół świętego Pawła...

Zza budynków wyłoniła się lśniąca bielą fasada świątyni wzniesionej w Makau przez jezuitów. Stała na szczycie wysokich schodów, wyraźnie odcinając się na tle intensywnie niebieskiego nieba – potężna i majestatyczna.

– Teraz poczułem się jak w domu – westchnął z uśmiechem Michał, któremu przed oczami przemknęły frontony jezuickich kościołów w Rzymie, Mozambiku, Goa, gdzie modlił się na trasie swej długiej podróży. Wszystkie były podobne, zbudowane na wzór rzymskiej świątyni Il Gesù, gdzie polski misjonarz rozpoczął swoją długą wędrówkę. Te wspomnienia wlały w jego serce nową siłę.

– Chodźmy, Mattiasie – zawołał z werwą Michał Boym. – Podziękuję Bogu za szczęśliwe zakończenie tułaczki. A potem pójdziemy do kolegium na obiad. Zjadłbym konia z kopytami albo jaskółcze gniazdo, a nawet sałatkę z duriana – jeśli tylko znajdę zatyczkę na nos! – dokończył ze śmiechem.

– *Szy, szy*! Tak, tak! – potwierdził Mattias, kiwając z zapałem głową i razem rozpoczęli wspinaczkę po kościelnych schodach.

Rozdział VIII
Nauka medycyny na Hajnanie

Powtarzaj za mną, Bu Mige: *hu cyao* (*hujiao* – pieprz), *kuey pi* (*guipi* – cynamonowiec), *sem kiam* (*shenjiang* – imbir)... – głos starego chińskiego lekarza był pełen spokoju i pewności.

– *Hu cyao, kuey pi, sem kiam* – powtarzał Michał posłusznie, przyglądając się dziwacznie powyginanym korzeniom, kłączom, kawałkom kory i owocom, poukładanym równiutko na niskim stoliku. – A do czego to wszystko służy? – nie wytrzymał wreszcie.

– Do leczenia, mój niecierpliwy uczniu – odparł z niewzruszonym spokojem Chińczyk. – Gdy poznasz nazwy i kształty, gdy nauczysz się rozpoznawać te rośliny świeże, ususzone i starte na proszek, wówczas wyjaśnię ci, jak je przyrządzać, by uśmierzały bóle i inne ludzkie dolegliwości.

– Mój ojciec jest lekarzem. Od niego dowiedziałem się wiele o medykamentach – odpowiedział z dumą jezuita.

– Phi, medycyna ludzi z Zachodu nie jest nic warta! – prychnął pogardliwie stary lekarz. – Chińczyków sztuki uzdrawiania nauczył sam Huangdi, Żółty Cesarz. Dzięki niemu potrafimy odczytać chorobę ludzkich wnętrzności z wyglądu dłoni, pulsu, a nawet plam na języku chorego.

– Och, mistrzu, nauczysz mnie tego? – przerwał mu z zapałem Michał.

– Nauczę, nauczę, Bu Mige. Wszystko w swoim czasie. A teraz powtarzaj: *hu cyao, kuey pi, sem kiam*...

Michał potulnie podjął wyliczankę.

Powietrze w chacie medyka nasycone było zapachami ziół, suszonych roślin, rozmaitych specyfików pozamykanych w puszkach lub bulgoczących w żelaznym kociołku nad paleniskiem. Polski jezuita przychodził tu niemal codziennie, odkąd dwa miesiące wcześniej przypłynął na wyspę Hajnan. Przełożeni z Makau uznali, że jest już gotowy do pracy na misji – złożył przecież ostatnie śluby, biegle wyuczył się mowy mandarynów, otrzymał nawet swoje chińskie imię – Bu Mige.

Kiedy wsiadał w Makau na pokład dżonki, był przekonany, że odtąd każdy dzień poświęci głoszeniu Ewangelii, opowiadaniu o Bożej miłości i Królestwie Niebieskim. Jednak kiedy dotarł na wyspę, dziwna gorączka powaliła go na posłanie i gdyby nie pomoc miejscowego medyka być może już by się osobiście przekonał, jak wygląda rajski ogród. Tymczasem dzięki paskudnie cuchnącym lekarstwom został jeszcze wśród żywych, na wyspie, którą śmiało można było nazwać rajem. Wszystko tu rosło niejako z własnej woli – soczyste, intensywnie pachnące, ogromne. Palmy kokosowe i bananowce wznosiły się wysoko ku niebu, a ich liście były tak duże, że każdy mógł służyć za schronienie przed deszczem dla dorosłego człowieka. Drzew owocowych nikt nie musiał doglądać, podlewać ani pielęgnować – same rodziły owoce, których smak w ustach Michała przewyższał nawet słodycz maminych konfitur, wykradanych potajemnie z ciemnej spiżarni, gdy był małym chłopcem.

Na Hajnanie, patrząc na zielony gąszcz wokół siebie, Michał często wspominał rodzinne krajobrazy – sięgające po horyzont łagodne pochyłości pól wyzłocone kłosami dojrze-

wającej pszenicy, falujące na wietrze. Tu horyzont przesłaniały potężne drzewa, a ze zbóż uprawiano tylko ryż. I to sadzono go w wodzie, wtykając roślinki w muliste dno.

– Ileż to sandałów musiało utknąć w tym mule – zastanawiał się Michał, gdy pierwszy raz obserwował Chińczyków pracujących na polu ryżowym. – I jaki straszny muszą mieć reumatyzm ci rolnicy od ciągłego brodzenia w wodzie! – dodał w myślach ze współczuciem.

Jego rozważania przerwał wówczas niezwykły widok. Oto z sąsiadującej z poletkiem dżungli wynurzyli się dwaj mężczyźni, dźwigający olbrzymią kolczastą kulę przywiązaną do drąga. Drąg uginał się pod ciężarem, a mężczyźni stąpali z widocznym trudem.

– Na Boga! Cóż to takiego! – wykrzyknął Boym.

– Owoc drzewa chlebowego – odparł towarzyszący mu chiński współbrat Mattias.

– Ten kolos wyrósł na drzewie? – dopytywał z niedowierzaniem jezuita. – Przecież on waży ze 30 kilogramów...

– Zaiste, to owoc drzewa – potaknął Chińczyk. – Ale takich drzew nie znajdziesz nigdzie indziej na świecie, tylko w państwie Mingów. Zresztą wszystko, co gdzieś indziej istnieje w słabej i niedoskonałej formie, tu jest pełne i idealne – dodał z dumą. – A ci dwaj – dorzucił po chwili, wskazując na mężczyzn niosących gigantyczny owoc – to prawdziwi szczęściarze. Ich rodziny mają teraz jedzenie na parę dni.

– Zaprawdę, wielki jest Bóg, który stworzył tak wielkie owoce. Muszę to wszystko opisać i narysować, bo w Europie nikt mi nie uwierzy – westchnął Michał, odprowadzając

wzrokiem kołyszący się majestatycznie owoc chlebowca, a w brzuchu zaczęło mu głośno burczeć.

Odkąd doszedł do zdrowia po przebytej gorączce, wrócił mu apetyt i ciekawość świata, na brak której zresztą nigdy nie narzekał. Bo chociaż początkowo wolał nie wiedzieć, jakimi specyfikami kurował go chiński lekarz, ostatecznie jednak wrodzone zainteresowanie medycyną wzięło górę. Po kilku wizytach w chacie medyka Michał – w zupełnie naturalny sposób – stał się jego pomocnikiem i najgorliwszym uczniem.

Pewnego ranka zastał swego mistrza bardzo czymś poruszonego.

– Bu Mige! – zawołał staruszek, gdy tylko misjonarz stanął w drzwiach jego chatki. – Dziś czeka nas dużo pracy! Chłopi z wioski złapali węża gen–to i pozyskamy z niego kamień wężowy – cudowne antidotum na wszelkie trucizny! Tak mi go brakowało w moich zbiorach. Od lat go szukałem. Co za szczęście! Co za radość!

Stary Chińczyk krążył po chacie, wymachując rękami. Nawet jego oklapnięte zazwyczaj wąsy wydawały się pełne entuzjazmu. Nie zauważył przy tym, że kraniec jego długiej szaty zajął się żarem z paleniska i unosiła się z niego już smużka dymu. Tym samym mistrz przypominał coraz bardziej uśmiechniętego chińskiego smoka. Michał przytomnie zadeptał żarzący się skrawek szaty mistrza, a potem zarażony jego entuzjazmem podwinął skwapliwie rękawy i zapytał z uśmiechem:

– Co mam robić, mistrzu?

W tej chwili pojawili się wieśniacy, niosący węża owiniętego wokół kija. Wąż miał co najmniej dwa metry długości,

a jego skóra była szara, nakrapiana brązowymi cętkami. Rozdziawioną paszczę miał rozpartą kołkiem, dzięki czemu było dobrze widać jego zęby – ostre i lśniące jak sztylety. Michał przyglądał im się z podziwem, gdy kątem oka dostrzegł, że jeden z wieśniaków ma rękę obwiązaną brudnym płótnem i cały jest rozpalony od gorączki.

– Co ci się stało? – zapytał, sadzając nieszczęśnika na niskim zydlu i odwijając opuchniętą rękę. Jego oczom ukazała się paskudna rana, czerwona i ropiejąca.

– Wąż go ukąsił, ojcze – odpowiedział jeden z towarzyszy. – Próbowaliśmy schwytać go żywcem, ale podstępna bestia rzuciła się na Xiao i żeby go uratować, musieliśmy zabić gada.

– Mistrzu! – zawołał Michał, a stary medyk w tej samej chwili zaczął badać chorą rękę, kręcąc przy tym z powagą głową.

– Tu pomoże tylko kamień wężowy. Szybko, Bu Mige, weź ostry nóż. A ty – zwrócił się do chorego – kładź się na posłaniu i czekaj. Zaraz znajdziemy dla ciebie lekarstwo.

Wieśniacy rozciągnęli węża na stole, a stary lekarz zaczął go okadzać, mamrocząc przy tym coś śpiewnie po chińsku. Potem zdecydowanym ruchem rozciął brzuch bestii i zanurzył dłoń w jej wnętrznościach. Po chwili poszukiwań wyciągnął stamtąd coś niedużego. Michał patrzył na to oszołomiony.

– Przestań się gapić, Bu Mige. Lepiej przynieś miskę z gorącą wodą! – fuknął na niego mistrz.

Michał pospiesznie przyniósł miseczkę z wrzątkiem, a lekarz wrzucił do niej przedmiot wyciągnięty z brzuch węża. Po umyciu położył go delikatnie na jedwabnej ściereczce, wytarł do sucha i z dumą zaprezentował wszystkim zebranym:

– Oto kamień wężowy!

Kamień był wielkości orzecha włoskiego, ale bardziej płaski, żółtawy z błękitnym środkiem. Michał uznał, że wiele podobnych kamyków widział nad brzegami Tagu Lizbonie, więc zapytał z niedowierzaniem:

– To tego czegoś szukałeś przez długie lata, mistrzu? Po co?

– Za chwilę zrozumiesz – odpowiedział medyk, podchodząc do leżącego na posłaniu wieśniaka.

Chory pojękiwał cicho, a jego ręka była czerwona jak chińskie lampiony zapalane na powitanie Nowego Roku. Lekarz ujął dłoń mężczyzny i przycisnął mocno kamień do rany. Wieśniak zawył z bólu. Próbował wyrwać rękę, ale staruszek jej nie puścił. Cały czas mówił uspokajająco do chorego, a ten spoglądał na swoje przedramię z narastającym zdumieniem. Zaczerwienienie malało, a opuchlizna znikała – zupełnie jakby kamień wsysał je w siebie. Po kilku minutach ręka odzyskała normalne rozmiary i barwę, a kamień samoczynnie odpadł od rany i potoczył się po podłodze z głuchym stukotem. Wszyscy milczeli w osłupieniu. Tylko lekarz ze spokojem podniósł kamień i skierował się z nim do spiżarni.

– Teraz trzeba go wymoczyć w mleku, żeby pozbyć się trucizny – mamrotał do siebie. – Zaiste doskonały ten kamień. Będę miał z niego nieraz pociechę...

Michał stał i obserwował tę scenę z otwartymi ustami. Nie wiedział, co powiedzieć.

Pełną zadziwienia ciszę przerwało skrzypnięcie drzwi. Do chaty wbiegł zaaferowany Mattias. W ręku trzymał list, na którym Michał już z daleka rozpoznał pieczęć swojego supe-

riora z Makau. Mattias mrugał oczami, próbując przyzwyczaić się do panującego w chacie półmroku. Gdy wreszcie zaczął rozróżniać osoby i przedmioty, podbiegł do Boyma i zawołał:

– Ojcze Michale, przyszły wieści z Makau! Masz jechać na dwór cesarza Yongli!

Rozdział IX
Na cesarskim dworze

Złote rybki tańczyły w sadzawce na środku ogrodu. Wokół kwitły piwonie, bambusy chwiały się na wietrze, a z nieodległego pawilonu dochodził melodyjny kobiecy śpiew. Dwaj mężczyźni przechadzali się po alejkach pogrążeni w rozmyślaniach. Patrząc z boku, można byłoby przypuszczać, że są to chińscy mandaryni. Nosili bowiem czarne jedwabne szaty, na nogach mieli haftowane pantofle, zaś ich brodate i wąsate głowy wieńczyły wysokie czapki, jakie w Państwie Środka zazwyczaj noszą uczeni mężowie. W rzeczywistości byli to dwaj jezuiccy misjonarze – Andrzej Koffler i Michał Boym. Starszy z nich przerwał ciszę:

– Harmonia żywiołów, doskonałe połączenie wszystkich elementów natury – oto jak Chińczycy postrzegają świat. Przyjrzyj się, Michale, z jaką troską został zaplanowany ten ogród. Znajdziesz tu wodę, skały, rośliny i zwierzęta – wszystko w odpowiedniej proporcji, zadbane, piękne. I choć to tylko tymczasowa siedziba cesarza, zatroszczono się o każdy szczegół. Zapamiętaj to, mój Michale, ogrody są duszą Wschodu.

– Bardzo pięknie mówisz, ojcze Andrzeju. To zachwycające, że gdy wokół trwa wojna, tu panuje taka cisza – Michał rozejrzał się po ogrodzie.

– To zasługa Bożej Opatrzności – odparł ojciec Andrzej. – Odkąd cesarzowa Helena, królowe i książę Konstantyn przyjęli chrzest, Bóg patrzy ze szczególną miłością na cesarski dwór.

– Opowiedz mi, jak do tego doszło, ojcze – poprosił młodszy jezuita. – Przecież to cud prawdziwy, że chińska cesarzowa i następca tronu są chrześcijanami.

– Cud, rzeczywiście cud – odpowiedział ojciec Andrzej. – Działy się tu niezwykłe rzeczy. Ale usiądźmy sobie nad sadzawką i wtedy opowiem ci wszystko po kolei.

Misjonarze rozsiedli się wygodnie na kamiennej ławce. Ojciec Andrzej zamyślił się głęboko i po chwili milczenia zaczął swoją opowieść:

– Wiesz zapewne, że Państwo Środka jest teraz bardzo niespokojne. Mandżurskie wojska najechały kraj od północy, pustosząc wszystko i rabując. Są to ludzie dzicy, nieokrzesani i groźni, a władcy z dynastii Ming nie potrafili im dotąd stawić należytego oporu. Uciekli z Pekinu i z wiernymi oddziałami schronili się tu, na południu Chin, zbierając siły do rozprawy z wrogiem. Gdy cesarzem został panujący obecnie Yongli, tak bardzo lękał się zasadzek nieprzyjaciół, że nie chciał nigdzie zatrzymywać się z dworem na dłużej. Zamieszkał na barce, która pływała po rzekach i rzadko przybijała do brzegu. Wówczas wielki kanclerz Pang–Achilles, który od kilku lat był już chrześcijaninem, sprowadził mnie, bym wlał otuchę w serce cesarza. Rozmawialiśmy długo. Opowiadałem cesarzowi Yongli o potędze naszego Boga, o tym, jak dobrym jest On opiekunem i sojusznikiem. Na pożegnanie dałem mu obrazek przedstawiający Najświętszą Pannę i medalik, a cesarz z uszanowaniem schował te święte przedmioty i prosił mnie, żebym wrócił do niego jak najszybciej i to na dłużej. Za zgodą naszych przełożonych zamieszkałem więc na stałe na cesarskim dworze.

Otucha najwyraźniej wstąpiła w serce Yongli, gdyż zdecydował się osiąść z dworem w tym pięknym miejscu. Jego wojska zaczęły odnosić sukcesy i los się odwrócił. Tłumaczyłem cesarzowi, że to dowód Bożej łaski, za którą powinien podziękować, przyjmując chrzest wraz z całym swym państwem. Tym bardziej, że pojawiły się niezwykłe znaki: na wybrzeżu znaleziono kraby, które na skorupach miały znak krzyża, urodził się koziołek z trzema rogami, a w Żółtej Rzece wyłowiono morskiego potwora – białego i wielkiego ogromnie. Wszystko to zapowiadało zmiany – tak powiadali Chińczycy, a są oni bardzo przesądni i we wszystkim dopatrują się znaków. Ja zaś powtarzałem, że tylko Bóg zdoła ocalić Państwo Środka. Słuchała mnie cesarzowa–matka i przyjęła chrzest, słuchały królowe – cesarskie małżonki i przyjęły chrzest, słuchali dostojnicy dworscy i przyjęli chrzest. Słuchał również cesarz, ale chrztu przyjąć nie chciał. Powtarzał, że bardzo mu się podoba nasza nauka, ale jako chrześcijanin mógłby mieć tylko jedną żonę, a on kocha wszystkie swoje małżonki. Poza tym, gdyby miał jedną żonę, poddani przestaliby go szanować, a do tego dopuścić nie wolno. Uczestniczył więc Yongli w mszach, odmawiał Ojcze nasz i Zdrowaś Mario, ale ochrzcić się nie dał. Co gorsze, gdy urodził mu się syn, zabronił ochrzcić i jego. Na próżno babka niemowlęcia – cesarzowa Helena – przekonywała cesarza, żeby zmienił zdanie. Na próżno matka chłopczyka – królowa Anna – ze łzami w oczach błagała, by władca wyraził zgodę na chrzest. Nawet rady wielkiego kanclerza Panga–Achillesa pozostawały bez echa. Cesarz był nieugięty, za nic mając groźbę piekielnych mąk i wieczystej udręki dla duszyczki małego księcia.

Po radości z narodzin dziedzica tronu, na dworze zapanował teraz smutek, który zamienił się w rozpacz, gdy chłopiec poważnie zachorował. Na nic były starania chińskich lekarzy, na nic palenie kadzidła, na nic nasze gorące modlitwy. Wreszcie zrozpaczony cesarz wezwał mnie do siebie i zapytał z wyrzutem:

– Czemu twój Bóg pozwala, by mój syn chorował? Czemu nie odwróci od niego bólu i gorączki?

– Cesarzu, mój Bóg jest wszechpotężny, ale to ty nie pozwalasz mu wziąć chłopca w opiekę. Nie zgadzasz się na jego chrzest i sam prowadzisz swoje dziecko ku śmierci – odpowiedziałem z przekonaniem.

Cesarz skulił się, jakbym go uderzył, a potem zapłakał gorzko. Wśród łez wypowiedział te słowa:

– Niech więc się stanie. Niech mój syn przyjmie chrzest, jeśli to ma go uzdrowić. Taka jest moja wola.

Bezzwłocznie przygotowaliśmy ceremonię. Kanclerz Pang przyniósł płaczące maleństwo. Aż żal było patrzeć na jego wynędzniałą, wykrzywioną od bólu buzię. Dookoła stanęły kobiety z rodziny cesarskiej – wszystkie zapłakane i przejęte. Ten jeden raz jakby zapomniały, że nie wolno im opuszczać niewieścich komnat ani też widywać mężczyzn. Stanęliśmy w kręgu. Odmówiłem nad chłopcem modlitwy, a gdy woda święcona obmyła jego maleńką główkę, dziecko natychmiast się uspokoiło. Leżało uśmiechnięte w ramionach kanclerza Panga, swojego ojca chrzestnego, i patrzyło na mnie ufnymi oczkami. Chłopiec został cudownie uzdrowiony! Nakreśliłem na jego czole znak krzyża i uroczyście nadałem mu imię Konstantyn, by w przyszłości uczynił państwo chińskie krajem chrześcijań-

skim, tak jak przed wiekami zrobił to cesarz Konstantyn Wielki z imperium rzymskim.

– Da Bóg, że tak się stanie! Wielka by to była radość dla papieża i całego chrześcijańskiego świata, gdyby Chiny stały się częścią Chrystusowej Owczarni! – wykrzyknął z zapałem Michał, a ojciec Andrzej pokiwał potakująco głową.

– Tak, da Bóg, że tak się stanie. Musimy jednak jeszcze wiele zrobić...

Jego słowa przerwało nadejście służącego, który ukłonił się nisko misjonarzom i cichym głosem oznajmił:

– Wielebni ojcowie, wielki kanclerz Pang raczy na was oczekiwać w sali posiedzeń. Zechciejcie niezwłocznie do niego dołączyć.

Po czym służący ponownie się ukłonił i odszedł szybkim krokiem do głównego budynku. Jezuici poderwali się z miejsc i podążyli za służącym. Skoro wzywał ich sam kanclerz, sprawa musiała być poważna.

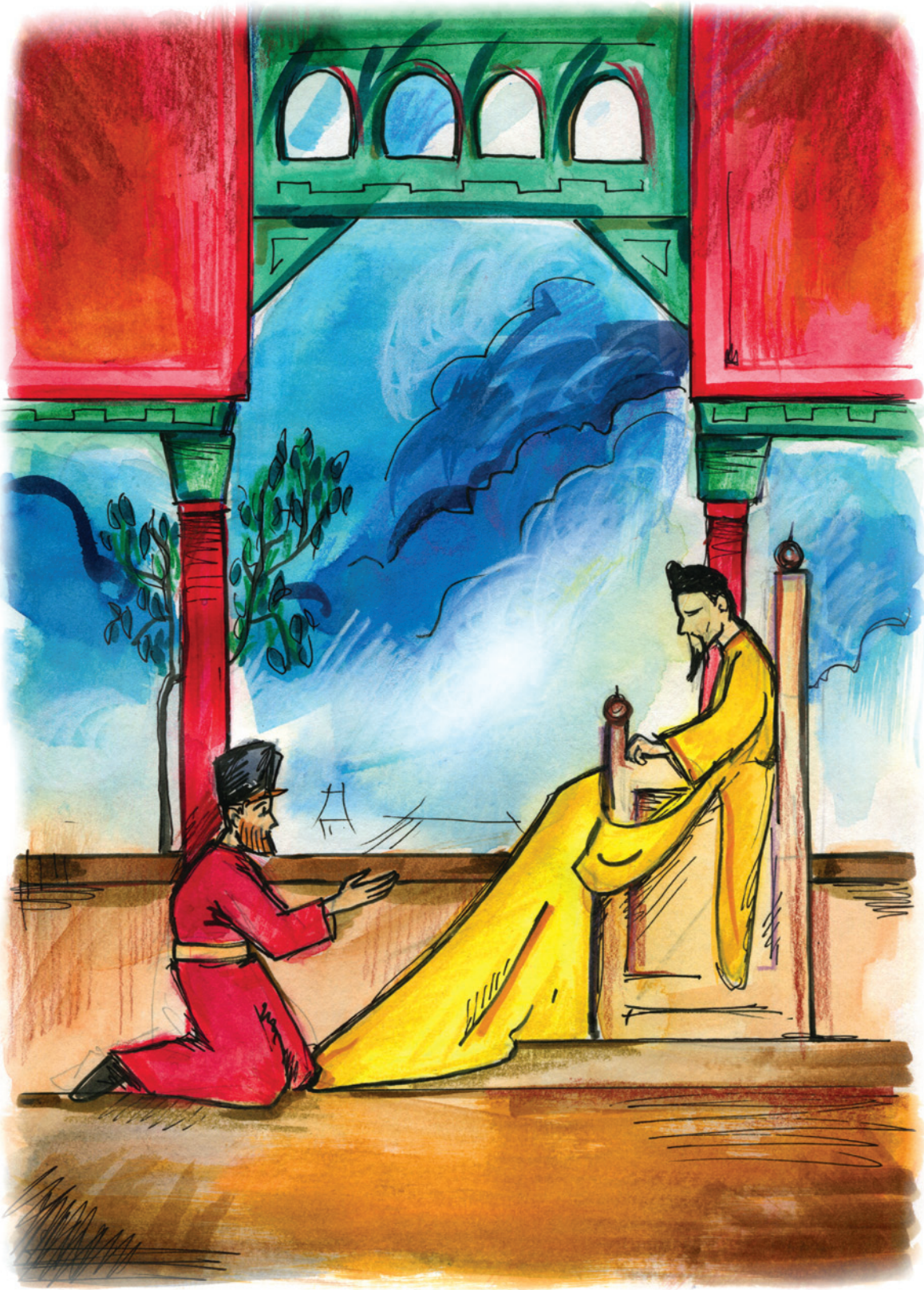

Rozdział X
Kto zaniesie list?

Trzymaj mnie, Michale! – zawołał ojciec Andrzej, wymachując rękami, by odzyskać równowagę. Z tak wielkim pośpiechem obaj jezuici weszli do sali posiedzeń, że nie dostrzegli klęczącego przy progu Chińczyka i się o niego potknęli. Na szczęście misternie rzeźbiona rama drzwi udzieliła im wsparcia, dzięki czemu nie wywrócili się na podłogę. Jednak gdy tylko rozpoznali siedzącą w głębi sali osobę, obaj również przyklękli i przykładając czoła do posadzki, oddali pokłon. Oto przed nimi zasiadał cesarz Yongli.

– Powstańcie, uczeni mężowie. Nie po pokłony tu przyszedłem, lecz po radę – odezwał się władca.

Jezuici niezwłocznie podnieśli się więc z podłogi, a obok nich postękując wyprostował się Chińczyk, który nieomal doprowadził chwilę wcześniej do katastrofy. Był to sam wielki kanclerz Pang–Achilles. I choć tak naprawdę był raczej mały, to wiele znaczył na dworze jako cesarski doradca i pierwszy eunuch. Najwyraźniej został solidnie poturbowany w trakcie zderzenia, bo dyskretnie masował sobie teraz tę część ciała, która w czasie pokłonu była najbardziej wypięta i w którą kopnęli jezuici. Mimo zbolałej miny Pang odezwał się jednak z godnością:

– Cesarz Yongli, Syn Nieba, zechciał osobiście przedstawić wam sprawę, dla której was tu wezwałem. Mam nadzieję, że umysły wasze będą równie szybkie w udzielaniu rad, co nogi w wymierzaniu kopniaków.

Cesarz skinieniem głowy przerwał tę tyradę i zwrócił się wprost do jezuitów:

– Ojcowie! Mówiliście wiele o potędze waszego Boga i o jego najwyższym kapłanie papieżu. Cesarzowa – matka, słuchająca pilnie waszego nauczania, pragnie podziękować Bogu za swój chrzest i za chrzest mojego syna. Dlatego chce wysłać list do papieża. Ja, cesarz, Syn Nieba, nigdy nie wysyłam listów jako pierwszy do innych władców i tej zasady nie złamię, ale zgadzam się, by napisała list cesarzowa. Niech będzie to piękny list, starannie wykaligrafowany na żółtym jedwabiu, ozdobiony czerwoną pieczęcią. Niech będą w nim słowa szacunku i miłości, żeby papież przyjął go z radością i modlił się o pokój w naszym państwie. Taka jest moja wola.

Ojcowie Andrzej i Michał stali jak oniemieli, tak bardzo zaskoczyły ich słowa cesarza. Natomiast kanclerz Pang, wtajemniczony już wcześniej w cały plan, niezwłocznie padł znowu na posadzkę i z czołem przy ziemi zaczął prosić:

– Panie, uczyń mnie, niegodnemu słudze, tan wielki zaszczyt i pozwól, bym zaniósł ten list papieżowi do dalekiego Rzymu. Będzie to spełnienie moich najskrytszych marzeń! Pozwól mi, panie, proszę!

– Powstań, Pangu – cesarz wyciągnął dłoń w kierunku eunucha. – Choćbyś prosił do kolejnego nowiu księżyca, nie zgodzę się na to. Jesteś potrzebny tutaj, u mego boku. Twoje doświadczenie i rady bardziej przydadzą się w państwie Mingów niż w Europie, gdzie ani ty nie znasz nikogo, ani nikt nie zna ciebie i wszyscy mówią barbarzyńską mową.

Nie przystoi nawet, byś ty – wielki kanclerz – opuszczał swój kraj. Niech na Zachód pojedzie mieszkaniec Zachodu.

Mówiąc to, cesarz przeniósł wzrok na ciągle milczących jezuitów:

– Ojcowie, który z was podejmie się tego zadania? Któremu starczy sił i zapału, by zanieść list cesarzowej do papieża?

Michał popatrzył pytająco na ojca Andrzeja. Był od niego młodszy i silniejszy, lepiej więc zniósłby wszelkie niewygody i trudy dalekiej podróży. Ojciec Andrzej był też bardziej potrzebny na dworze jako kapelan i spowiednik chrześcijan z cesarskiej rodziny. W ciągu sekundy dwaj jezuici w milczeniu osiągnęli porozumienie.

– Ja pójdę, Wasza Cesarska Mość – powiedział Michał Boym, pochylając nisko głowę. – Będzie to dla mnie największy zaszczyt.

– Zatem postanowione – odrzekł cesarz Yongli z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Niech zostanie spisany list po chińsku i w waszej zachodniej mowie, by papież mógł dobrze zrozumieć jego treść. A potem ruszaj niezwłocznie, Bu Mige, i zanieś to pismo do Rzymu. Pójdą z tobą moi oficerowie – Andrzej Cheng i Józef Ko. Oni będą moimi oczami i uszami, a po powrocie opowiedzą mi wszystko o cudach Zachodu.

Zza pleców cesarza wysunęli się bezszelestnie dwaj młodzi mężczyźni i skłonili się głęboko przed Michałem.

– *Szy*! Tak, Wasza Cesarska Mość – odpowiedział jezuita, składając niski pokłon.

Nim podniósł głowę znad posadzki, cesarz opuścił salę. Audiencja była skończona. Dwaj młodzi Chińczycy wpatrywali się w Michała wyczekująco.

– Chyba zostałem ambasadorem dynastii Ming – powiedział do nich z uśmiechem jezuita. – *Szy buszy*? Tak czy nie?

– *Szy*! – Andrzej Cheng odwzajemnił Michałowi uśmiech. W jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

– Chyba się polubimy – odparł na to Michał i uściskał mocno obu młodzieńców, wyraźnie zaskoczonych tą nagłą serdecznością.

– Auuuu... – jęknął Andrzej. – Czy tak się zachowują wszyscy mieszkańcy Zachodu? Bo to jest dość dziwne...

– Nie jedna rzecz cię jeszcze zadziwi w czasie naszej podróży, przyjacielu – odpowiedział z przekonaniem jezuita. – Chodźmy sposobić się do drogi, bo wiele tysięcy mil przed nami nim dotrzemy do Rzymu.

Rozdział XI
Ucieczka z Goa

Portugalska karaka „Santa Catarina" podniosła kotwicę 1 stycznia roku Pańskiego 1651. Majestatycznie opuściła port Makau, ten kwiat lotosu unoszący się na morskich falach, jak mawiali chińscy uczeni, i pożeglowała przez południowe morza ku zachodowi. Michał, Andrzej i Józef zdążyli się już do tego czasu zaprzyjaźnić. Misjonarz z zapałem opowiadał teraz swym towarzyszom o mijanych krainach i lądach, majaczących na horyzoncie, które znał już z wcześniejszej podróży. Mówił o wysepce Sancien, gdzie jezuita Franciszek Ksawery zmarł przed laty, nie mogąc wejść na chińską ziemię, o Hajnanie obfitym we wszelkie owoce, o Malakce, Sumatrze, słynącym z cynamonu Cejlonie, wreszcie o złotym Goa, do którego dopłynęli po pięciu długich miesiącach żeglugi.

– Poczekajcie, aż zobaczycie kościół świętego Pawła – opowiadał Michał z przejęciem, gdy statek zbliżał się do portu. – Te rzeźby, te ołtarze ze świętymi malowidłami i płonące świece – jakby samo niebo zstąpiło na ziemię. Ale i całe miasto jest zachwycające. Ma wysokie mury obronne, ulice szerokie, budynki ozdobne, a na targowisku wszystko, co możecie sobie wyobrazić. Nawet chińskie jedwabie i porcelanę! I kamienie szlachetne przecudnej urody. A ludzi tam całe mrowie i świętych krów niemal tyle samo.

– Mi nawet święte krowy nie będą przeszkadzać, byle wreszcie stanąć na twardej ziemi. Chińczycy nie są stworzeni

do żeglugi – westchnął Józef Ko, któremu pobyt na morzu nie służył i przez niemal cały rejs był na zmianę to blady, to pozieleniały na twarzy. Teraz znowu jego policzki przybrały barwę rozgotowanego szpinaku, a na czole pojawiły się wielkie krople potu. Wyglądał naprawdę żałośnie.

– Jako to nie są stworzeni? A o wielkim generale Zhang He, co żeglował po całym Oceanie Indyjskim nigdy nie słyszałeś? – obruszył się Michał, ale zaraz przyjrzał się uważniej przyjacielowi i przyłożył mu dłoń do czoła. – Ejże, czyś ty bratku nie zachorował od tych indyjskich upałów? Oj, na tym czole można by usmażyć jajka sadzone.

Mówił to żartobliwie, ale w oczach miał troskę. Andrzej Cheng w milczeniu pokiwał głową. W rezultacie chcąc nie chcąc pierwszym miejscem, jakie odwiedzili po przybyciu do Goa, był szpital królewski prowadzony przez jezuitów. Tam również spędzili znakomitą większość następnych sześciu miesięcy, troskliwie pielęgnując poważnie chorego Józefa. I choć dla odwiedzających wyznaczono ściśle przestrzegane godziny odwiedzin (trzy rano i trzy po południu), jednak Andrzejowi pozwolono czuwać przy łóżku przyjaciela dniem i nocą, gdyż tylko on mógł przetłumaczyć, o czym po chińsku majaczył w gorączce Józef.

W tym czasie Michał Boym prowadził dyplomatyczną wojnę. Okazało się bowiem, że gdy cesarscy wysłannicy płynęli do Goa, sytuacja polityczna w cesarstwie chińskim zmieniła się dramatycznie. Siły cesarza Yongli słabły, mandżurscy najeźdźcy odnosili kolejne sukcesy, a Portugalczycy (którzy bogacili się na handlu z Chinami) postanowili rozpocząć układy ze zwycięskimi

Mandżurami, żeby nie stracić swoich posiadłości i zysków. Była to historia stara jak świat – gdzie dwóch się biło, tam trzeci chciał skorzystać, a tym trzecim byli właśnie Portugalczycy i dlatego misja Michała Boyma była im bardzo nie w smak. Co gorsza do Goa przybył także ojciec Baltazar Citadella, jezuita, prokurator misji na Dalekim Wschodzie i zagorzały przeciwnik poselstwa Boyma. To on wraz z portugalskim wicekrólem Goa postanowił, że Michałowi i jego towarzyszom nie wolno odpłynąć do Europy na pokładzie żadnego portugalskiego okrętu. Problem polegał na tym, że z Goa do Europy pływały tylko portugalskie statki... Nie pomogły prośby, błagania, płacze, ani krzyki. Nie pomogło pokazywanie cesarskich listów i darów. Nie pomogły modlitwy ani świece zapalane przy relikwiach Franciszka Ksawerego. Zakazu nie udało się odwołać.

Załamany tą decyzją Michał wracał szeroką ulicą *rua direita* z pałacu wicekróla do szpitala. Tym razem nie zwracał uwagi na egzotyczne towary, leki, owoce czy kamienie szlachetne wypełniające kramy i sklepiki po obu stronach drogi. Był zrozpaczony. Oto minął już rok, odkąd opuścił cesarski dwór, a przebył ledwie kawałek drogi i nie miał możliwości, by ruszyć dalej. Zawiódł zaufanie cesarza, cesarzowej Heleny, kanclerza Panga, wszystkich...

Pogrążony w tych czarnych myślach Michał nie zauważył leżącego na ziemi banana, który spadł z jakiegoś straganu. Nadepnął na niego, poślizgnął się, zatrzepotał rękami i z impetem upadł w wielką kałużę. Błoto oblepiło mu czoło i policzki, wpadło do ust, a nawet zatkało dziurki od nosa.

Był brudny jak prosię, ale – niestety – zdecydowanie mniej szczęśliwy. Plując i kaszląc, wydobył się Michał z błotnistej mazi. Wokół niego zrobiło się już małe zbiegowisko. Ktoś podał mu lusterko i chusteczkę, by mógł oczyścić twarz.

– No, tylko tego mi brakowało – narzekał misjonarz, ścierając z siebie brud. – Wyglądam jak najczarniejszy z Kafrów. Nikt by mnie nie rozpoznał z taką twarzą...

W tym momencie przyszła mu do głowy genialna myśl i aż podskoczył z radości. Oddał lusterko i chusteczkę zdumionemu Portugalczykowi i podkasując poły swojej czarnej chińskiej szaty, pobiegł pędem do szpitala.

– *Omnia possideat, non possidet aera Minos*! – wykrzyknął do Andrzeja i Józefa zamiast powitania, wpadając do szpitalnej sali. Obaj Chińczycy otworzyli szeroko oczy. – „Choćby posiadł wszystko inne, Minos nie posiądzie powietrza", Owidiusz – dodał szybko celem wyjaśnienia Michał. – Zrobimy tak jak Dedal i Ikar. Skoro nie wolno nam odpłynąć na portugalskim statku, to uciekniemy stąd inaczej!

– Polecimy na skrzydłach? – zapytał z niedowierzaniem Andrzej, który dzięki rozmowom z Michałem zdążył już dość dobrze poznać starożytne mity greckie. – W takim razie ja wolę być Dedalem, a nie Ikarem.

– Nie polecimy, tylko pójdziemy na piechotę, albo pojedziemy na mułach, albo na wielbłądach, jak już dotrzemy do pustyni. Wymkniemy się nocą, zabierzemy to, co najcenniejsze – listy, cesarskie dary, trochę książek – i dotrzemy do Europy drogą lądową! – wyliczał jednym tchem jezuita, po czym odtańczył na środku sali dziki taniec radości.

Andrzej i Józef spojrzeli na siebie z osłupieniem – dziwni ci ludzie Zachodu... Ale Michał nie zostawił im czasu na zdumienie czy wyrażanie wątpliwości.

– Józefie, ty pozostaniesz w Goa, dopóki nie wyzdrowiejesz całkowicie. Potem wrócisz na dwór cesarski i wszystko tam opowiesz – zarządził krótko. – A my bierzemy się do pakowania, Andrzeju. Nie możemy czekać ani chwili – zbyt wiele tygodni tutaj straciliśmy. *Szy buszy*?

– *Szy* – odparł potulnie Andrzej.

I tak właśnie zrobili.

***

Był ósmy dzień grudnia 1651 roku. Noc była czarna, chmury starannie zakryły księżyc i gwiazdy. W ciemnościach skrzypnęły lekko drzwi. Na ulicę wysunęły się ostrożnie dwie postaci – Michał i Andrzej. Miasto spało, był to jednak sen niespokojny, przerywany rozmaitymi hałasami, które w dzień nie zwróciłyby niczyjej uwagi, ale nocą wydawały się groźne i złowrogie. Michał przeżegnał się pośpiesznie, gdy spod nóg uciekł mu z piskiem tłusty szczur.

– Na Boga, gdyby nie ten długi ogon, pomyślałbym, że to było prosię – uśmiechnął się krzywo do Andrzeja. Oczy Chińczyka były równie ciemne jak noc, ale lśnił w nich spokój.

– Spójrz, Bu Mige – Andrzej wyciągnął rękę ku zachodowi. Tuż nad horyzontem przez zawoje chmur przebijał się blask gwiazdy.

– To będzie nasza gwiazda–przewodniczka. Poprowadzi

nas prosto do Rzymu – na ten widok Michał odzyskał swój zwykły entuzjazm. Poprawił rzemienie torby i mocno klepnął Andrzeja w ramię. – Ruszajmy, przyjacielu! *Omnia ad maiorem Dei gloriam*! Wszystko dla większej chwały Boga!

– I dla cesarza Yongli – dodał ochoczo młody Chińczyk, przyspieszając kroku, żeby nadążyć za długonogim towarzyszem. Gwiazda zamrugała do nich porozumiewawczo.

***

Dopiero znacznie później miał się Michał dowiedzieć, że wędrując za gwiazdą uniknęli katastrofy morskiej, gdyż statek którym mieli początkowo płynąć do Europy, zatonął przy wybrzeżu Afryki. Wraz z nim na dnie oceanu spoczął ojciec Citadella oraz jego listy potępiające poselstwo Boyma. Najwyraźniej Michał urodził się pod szczęśliwą gwiazdą...

Rozdział XII
Trudy wędrówki

Gwiazda lśniła nieziemskim blaskiem. Michał musiał aż zmrużyć oczy, bo światło całkowicie go oślepiło. Niepewnie rozejrzał się dookoła. Obok niego na grzebiecie wielbłąda kołysał się dostojnie Andrzej, ale jak dziwnie ubrany! Miał na ramionach purpurowy płaszcz obramowany złotym szlakiem, na głowie turban, a jego dłonie błyszczały od drogocennych pierścieni. Michał zamrugał z niedowierzaniem i spojrzał na siebie. On również siedział na wielbłądzie, którego uzda i siodło były ozdobione perłami. Ubrany był w turkusowe szarawary i piękny kaftan z granatowego jedwabiu. Wyglądał jak król lub książę ze wschodnich baśni.

– Andrzeju, o co tu chodzi? – zapytał przyjaciela.

– Nie jestem żadnym Andrzejem – usłyszał w odpowiedzi. – Mam na imię Kacper.

– A ja?

– Ty jesteś Melchior. A po twojej lewej stronie jedzie Baltazar.

Oszołomiony Michał spojrzał w lewo, ale sąsiednie siodło było puste. Zobaczył tylko wyszczerzony szyderczo pysk wielbłąda. Jego żółte zęby zbliżały się coraz bardziej do twarzy Michała, a gdy ten uchylił się przed kłapnięciem wielkiej paszczy, wielbłąd w jednej chwili przemienił się w ogromnego skorpiona i wymierzył w jezuitę swój kolec jadowy.

– Zaraz cię ukłuję, tak jak Baltazara... I zabiorę wszystkie

twoje skarby – wymamrotał potwór, szykując się do zadania ciosu.

– Nie! – wrzasnął Michał. Błyskawicznie rzucił się w bok, spadł z wielbłąda i już miał uciekać jak najdalej od wstrętnej kreatury, gdy czyjeś mocne ramiona przycisnęły go do ziemi. – Nie chcę umierać! Gdzie jest Baltazar?! Co się stało z Baltazarem?! Ratunku! Nasze skarby! – krzyczał jak opętany, próbując się wyrwać z uścisku, dopóki nie dotarły do niego kojące słowa:

– Uspokój się, Bu Mige. To tylko zły sen...

– Mama? – zapytał Michał z nadzieją w głosie.

– To ja, Andrzej. No, już dobrze. Ukłuł cię skorpion i przez cztery dni leżałeś odrętwiały, w gorączce, ale chyba jad przestaje wreszcie działać – odrzekł Andrzej, przykrywając przyjaciela płaszczem.

– A gdzie jest Baltazar? Nic mu nie grozi? I czy skarby są bezpieczne? – dopytywał wciąż nie do końca przytomny Michał.

– Baltazar? Masz na myśli Józefa? Przecież on został w Goa. Teraz już pewnie cały i zdrowy wrócił na cesarski dwór. A skarby są bezpieczne. Wszystkie leżą w twojej torbie: listy cesarzowej Heleny na żółtym jedwabiu, listy kanclerza Panga wykaligrafowane na czerwonym papierze, srebrne plakietki, które cesarz polecił nam złożyć na grobie Ignacego Loyoli w Rzymie, twoje książki medyczne – wszystko jest... – wyliczał uspokajająco Andrzej.

– Wszystko? – upewnił się jeszcze Michał i dodał ze strachem: – I nie ma tu tych okropnych skorpiądów ani wielbłonów?

– Nie ma, nie ma – zapewnił Andrzej, choć nie miał pojęcia, o co Michałowi chodzi. – Jesteśmy bezpieczni, Bu Mige. Zaśnij spokojnie – sen przyniesie ci zdrowie.

Z westchnieniem ulgi Michał ułożył głowę na kolanach przyjaciela. Po chwili zapadł w głęboki, kojący sen bez snów.

***

Tak mijały tygodnie i miesiące. Wspólna podróż przez dżungle, góry i pustynie ogromnie zbliżyła Michała i Andrzeja. Dzielili ze sobą wszystko: jedzenie, ciepłe okrycia, lekarstwa, strach i nadzieję, a także najsekretniejsze myśli. Andrzej opowiadał Michałowi o Chinach, Michał Andrzejowi o Europie. Rozumieli się już tak dobrze, jakby byli rodzonymi braćmi i wystarczyło im jedno spojrzenie, by ostrzec się wzajemnie o każdym dostrzeżonym niebezpieczeństwie. Czasem były nim dzikie zwierzęta, częściej – groźni ludzie. Zdarzało się, że w obawie przed rabusiami wędrowcy przez kilka nocy nie rozpalali ognia, by jego blask nie zwabił napastników. Często brakowało im jedzenia, a stopy mieli tak poobcierane, że brakowało już miejsca na nowe bąble. Od ciągłych wiatrów i deszczów obaj byli ogorzali i brudni. Bardzo też schudli, a ich ubrania w niczym nie przypominały szat królewskich. Nieśli jednak swoje skarby niczym Trzej Mędrcy ze Wschodu i choć było ich tylko dwóch, żadne przeciwności nie mogły zgasić ich zapału.

Wreszcie po dziewięciu miesiącach podróży we wrześniu 1652 roku dotarli na brzeg Morza Śródziemnego w Smyrnie. Tam wędrowcy najpierw zakosztowali dobrodziejstwa tureckiej łaźni, gdzie zmyli z siebie cały brud, a później w czasie uroczystej mszy opowiedzieli o chrześcijanach na dworze chińskiego cesarza. Ze Smyrny odpłynęli wkrótce do Wenecji, by wreszcie oficjalnie wystąpić w roli ambasadorów dynastii Ming w Europie.

Rozdział XIV
Przed weneckim dożą

Wody laguny migotały tysiącami blasków, odbijając promienie słońca wspinającego się ku zenitowi nad Najjaśniejszą Republiką Wenecką. Serenissima witała Michała i Andrzeja w całym swym pięknie, podkreślonym łagodnym ciepłem wczesnej jesieni. Siedząc w gondoli, przyjaciele przyglądali się miastu wyrastającemu z wody, strojnemu w koronki arkad, ozdobnych portyków, balustrad i attyk.

– Czy to my się kołyszemy, czy całe miasto tańczy na falach? – zapytał Andrzej, po raz pierwszy w czasie całej podróży szczerze zdziwiony i przejęty widokiem, którego nie potrafił porównać z niczym, co znał z Chin.

– I my, i Wenecja – odparł melancholijnie Michał. – Wszyscy jesteśmy jak łabędzie piórko na wielkim morzu. I tylko czasem zdarzy się fala wysoka jak góra, a czasem przestwór jest spokojny i czysty jak sny dziecka... Ale dosyć tej poezji – przerwał chwilową zadumę. – Czeka nas zadanie. Pora wysiadać.

Rzeczywiście, gondola dobijała właśnie do pomostu tuż przy pałacu dożów. Na wysokich słupach przy nabrzeżu siedziały gołębie i przyglądały się dziwnym przybyszom. Do gołębi dołączył także spory tłumek gapiów, bo było na co popatrzeć. Oto z gondoli wysiadali z wielkim dostojeństwem dwaj przebierańcy. Andrzej na spotkanie z weneckim dożą przywdział jasnozielony, bogato haftowany jedwabny strój, przepasany szeroką purpurową szarfą. Na nogach miał ozdobne

pantofle, a w ręku dzierżył błękitną parasolkę. Michał ubrany był skromniej – w czarną jedwabną szatę, ale jego wysoka czapka, starannie uczesana broda i śmiałe spojrzenie również przyciągały wzrok zaciekawionych wenecjan.

– Co to za cudaki? Przecież karnawał się jeszcze nie zaczął – zastanawiało się dwóch wyrostków, opartych o kolumnę zwieńczoną figurą lwa.

– Pewnie jacyś zamorscy posłowie – odpowiedział stojący obok gondolier. – Mało to ich przypływa do Wenecji?

Michał, słysząc tę wymianę zdań, spojrzał w kierunku kolumny. Jego uwagę zwrócił lew na szczycie marmurowego słupa – dumny i władczy. Wyciągnął w górę rękę, wskazując go Andrzejowi:

– Spójrz, to symbol Wenecji – lew świętego Marka, patrona tego miasta. Jego podobizny spotkamy tu na każdym kroku, bo swoimi skrzydłami zapewnia ochronę całej republice.

Andrzej posłusznie spojrzał w górę, odsuwając nieco parasolkę, by nie zasłaniała mu widoku. W tym właśnie momencie z głowy kamiennego lwa poderwał się gołąb, zatoczył szeroki łuk i wypuścił spod ogona coś, co z lepkim „Pac!" wylądowało na ramieniu Andrzeja.

– Fuj! Co za paskudztwo! – jęknął Chińczyk z odrazą, ale Michał wybuchnął gromkim śmiechem.

– Nie przejmuj się, Andrzeju! Zaraz wszystko wytrę, a wśród tych misternych haftów nawet nie będzie widać śladu po „prezencie" od gołębia. Zresztą moja mama mawiała, że to przynosi szczęście. Uznaj to więc za dobry znak przed naszym spotkaniem z dożą.

– Może i dobry, ale nieco cuchnący – Andrzej zmiął pod nosem chińskie przekleństwo, które – gdyby miało się spełnić – pozbawiłoby piór nie tylko gołębia winowajcę, ale też wszystkich jego przodków i potomków aż do siódmego pokolenia. Po czym starannie oczyścił swą szatę i z godnością ruszył ku wejściu do pałacu. Michał, ciągle chichocząc, poszedł w jego ślady.

***

Przez lśniący marmurem dziedziniec, po Schodach Gigantów i Złotych Schodach Michał i Andrzej dotarli do Sali Wielkiej Rady, gdzie w otoczeniu dostojników zasiadał doża, władca Republiki Weneckiej. Pomieszczenie było tak ogromne, że choć zgromadziło się w nim ponad sto osób, sprawiło wrażenie niemal pustego. Przez potężne okna z weneckiego szkła do środka swobodnie wpadało światło słoneczne. Każdy centymetr ścian i sufitu pokrywały monumentalne malowidła, sławiące dzieje Wenecji. Patrząc na nie, nikt nie mógł wątpić, że Serenissima jest królową mórz. Michał i Andrzej także nie mieli takich wątpliwości. Na podwyższeniu w purpurowym płaszczu z gronostajowym kołnierzem i wysokiej czerwonej czapce zasiadał wielki doża – Francesco Molin, który przyglądał się swym gościom podejrzliwie spod siwych, krzaczastych brwi.

– Witam was, przybysze z dalekich Chin – odezwał się po długiej chwili milczenia, gdy Michał i Andrzej złożyli mu pełne szacunku ukłony. – Witam, choć jezuici nie są obecnie mile widziani w Wenecji. Ale za to przybysze z Kataju od czasów naszego rodaka Marco Polo byli tu zawsze oczekiwani

z wielką ciekawością. Tym bardziej więc się cieszę, mogąc was podejmować.

– Dziękuję ci, panie, za te uprzejme słowa – odparł Michał, spoglądając dumnie w oczy doży. – Jestem jezuitą i tego się nigdy nie wyprę, ale stoję tu przed tobą jako wysłannik szlachetnej cesarzowej Chin, czcigodnej Heleny oraz wielkiego kanclerza Panga–Achillesa. A ten oto mój towarzysz jest oficerem samego cesarza Yongli, szczęśliwie panującego władcy z wielkiej dynastii Ming. Przynosimy ci od nich pozdrowienia i zapewnienie o szczerej przyjaźni.

– Skoro przychodzicie tu jako przyjaciele i ambasadorowie cesarza Chin, bądźcie moimi gośćmi. Zamieszkacie w moim pałacu, przez trzy dni będziecie mogli pływać po Wenecji w mojej gondoli pod opieką mojego sługi, a już dziś wieczorem zapraszam was na ucztę. Teraz jednak zechciejcie usiąść i opowiedzieć nam o niezwykłym cesarstwie chińskim i o waszej podróży z dalekiego Wschodu do Europy.

Na te słowa służący przynieśli dwa wygodne krzesła. Michał i Andrzej usadowili się na nich i jezuita zaczął swoją opowieść. Mówił, mówił i mówił. Andrzej potakująco kiwał głową. Doża i wszyscy senatorowie słuchali jak zaczarowani. Słońce już dawno zanurzyło się w wodach laguny, pogrążając weneckie kanały w tajemniczym mroku, a opowieść Michała Boyma ciągle trwała.

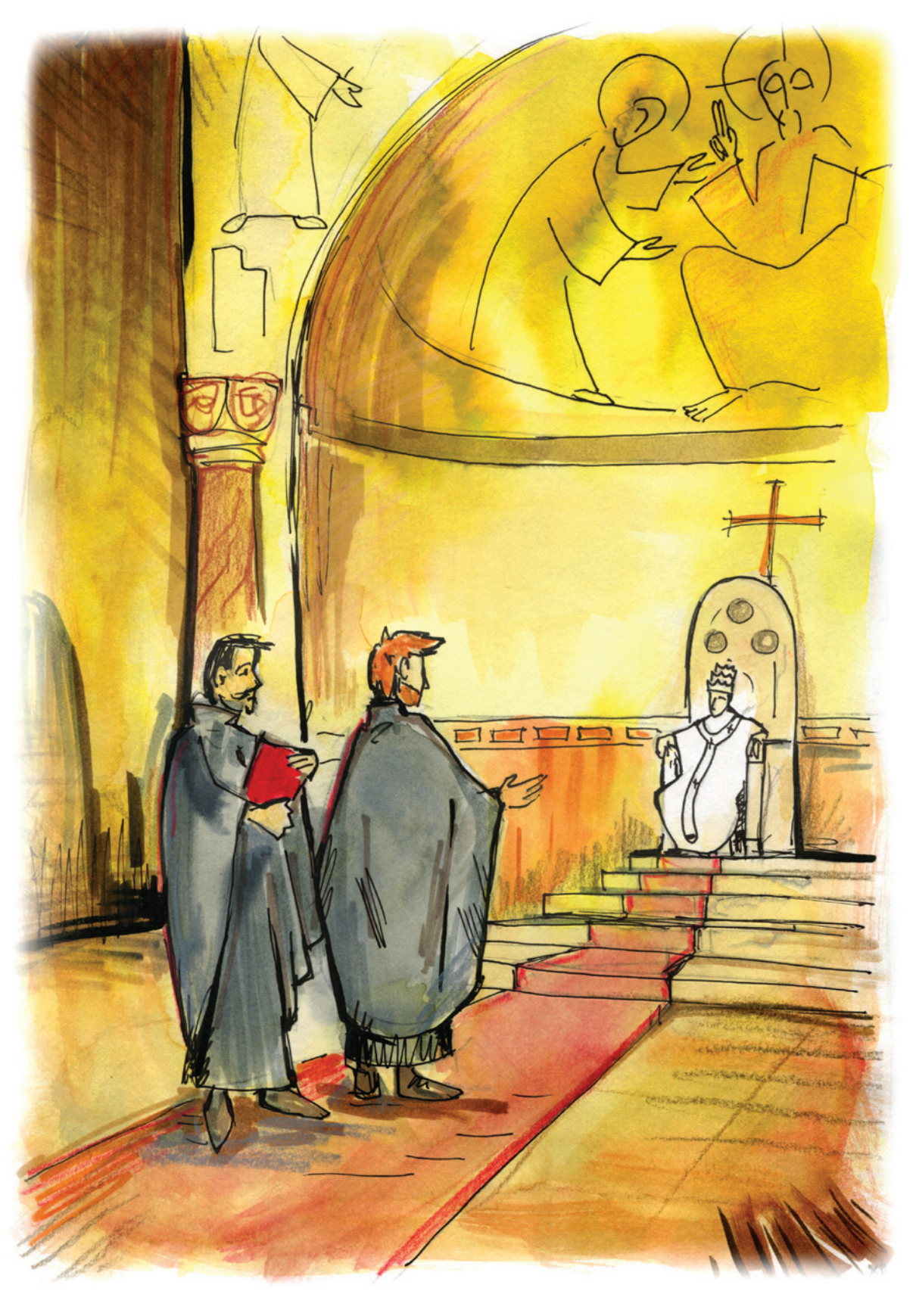

Rozdział XIV
Gdzie Rzym, gdzie Chiny

Jeśli po wspaniałym przyjęciu w Wenecji Michał myślał, że cały Rzym również padnie mu do stóp, to bardzo się mylił. Generał jezuitów ogromnie się na niego rozgniewał za paradowanie przed senatem Wenecji w roli chińskiego ambasadora. Listownie nakazał mu stosowną dla jezuitów pokorę i wysłał na dłuższy pobyt do włoskiego miasta Loreto, żeby w spokoju przemyślał swoje naganne postępowanie. Dopiero po pewnym czasie generał wyraził łaskawie zgodę, żeby Michał i jego chiński towarzysz przybyli do Rzymu. Nie jechali jednak na wozie, ani też nie witało ich grono kardynałów, jak to sobie Michał wcześniej wyobrażał. Pod murami Rzymu nie czekał na nich nikt. Bez oklasków i wiwatów dwóch wędrowców w zakurzonych strojach wchodziło w bramy Wiecznego Miasta wraz z tłumami innych podróżnych, kupców i włóczęgów.

Co gorsza, Rzym przyjął ich z wielką podejrzliwością, ponieważ jakiś złośliwiec wysłał list do papieża i napisał w nim, że Michał tylko udaje prawdziwego Michała Boyma, że całe poselstwo zostało sfałszowane, a w ogóle to cesarzowa Chin nigdy by nie mogła napisać listu do papieża, ponieważ chińskie kobiety nie postępują w ten sposób. W dodatku ten złośliwiec nie miał nawet odwagi, żeby się podpisać pod listem własnym imieniem i nazwiskiem. Nazwał się tylko imieniem servus *Ecclesiae* –„sługa Kościoła”. Ten anonimowy list bardzo zaszkodził Michałowi, choć on sam gorąco protestował przeciw zarzutom nieznanego

oskarżyciela. Otaczający papieża kardynałowie i biskupi stwierdzili, że nie pozwolą mu się zbliżyć do Ojca Świętego, dopóki z Goa i Makau nie przyjdą pisma potwierdzające, że Michał Boym jest Michałem Boymem, a jego poselstwo jest prawdziwe. Pozostało więc tylko czekać.

Nim pisma nadeszły, 7 stycznia 1655 roku umarł papież Innocenty X. Cały Rzym pogrążył się w smutku. We wszystkich kościołach odprawiano żałobne nabożeństwa, palono świece, modlono się dniami i nocami za duszę zmarłego. Kto w tej sytuacji myślałby o jakimś chińskim wysłanniku? Michał siedział więc cicho i by zapełnić jakoś czas, pisał książki naukowe: o florze Chin, o chińskiej medycynie, o akupunkturze i rozpoznawaniu chorób z wyglądu języka, o chińskich wierzeniach, o wielkim filozofie Konfucjuszu. Chciał zawrzeć w książkach wszystko to, czego dowiedział się o Państwie Środka. Kreślił więc mapy Chin, opisywał chińskie lekarstwa, a nawet tłumaczył na łacinę słynne chińskie inskrypcje ze steli w Xian. Andrzej niezmiennie służył mu pomocą. Tak pracowali razem bez wytchnienia, a jednak z każdym mijającym tygodniem mieli coraz bardziej dość czekania.

Gdy uroczystości pogrzebowe Innocentego X dobiegły końca, w Watykanie odbyło się konklawe i po trzech miesiącach obrad wybrano nowego papieża – Aleksandra VII. A że był on człowiekiem bardzo ciekawym świata i interesował się misjami jezuickimi, przypomniał sobie wreszcie o Michale Boymie, o którym – dzięki listom z Goa i Makau – było już z całą pewnością wiadomo, że jest Michałem Boymem. Tego właśnie najprawdziwszego Michała i jego chińskiego towarzysza Andrzeja papież zaprosił na oficjalną audiencję.

Był osiemnasty dzień grudnia 1655 roku. Michał i Andrzej zatrzymali się na skraju placu świętego Piotra. Spojrzeli na jaśniejącą w słońcu bryłę bazyliki, na wysoko sklepioną kopułę, która zdawała się sięgać nieba. I obaj poczuli się nagle mali, nieważni i zagubieni jak bezdomne szczenięta. Michał cofnął się o pół kroku.

– Chyba nie dam rady tam wejść... – wyszeptał.

– Boisz się, Bu Mige? – Andrzej uśmiechnął się krzepiąco. – Przecież nas tam nie zjedzą.

– Zjeść nie zjedzą, ale jak papież groźnie na mnie spojrzy, to nie wyduszę z gardła ani słowa.

– O to się nie martwię! – wybuchnął śmiechem Chińczyk. – Co jak co, ale mówić to potrafisz. Mógłbyś zagadać papieża na śmierć. No, już! Idziemy! Jeśli masz czyste serce i czyste buty, wszystko będzie dobrze.

– Byle tylko papież miał czyste buty... – mruknął Michał, ruszając z nową energią w kierunku bazyliki, a zdziwione tym stwierdzeniem spojrzenie Andrzeja zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

Dlaczego Michał martwił się o czystość papieskiego obuwia, Andrzej zrozumiał już wkrótce, gdy obaj klęczeli w Kaplicy Sykstyńskiej przed tronem Aleksandra VII i z czcią całowali purpurowy papieski pantofel.

– Na szczęście nie pachnie jak owoc durianu – wymamrotał po chińsku Andrzej, gdy obaj podnosili się z kolan. Michał z trudem powstrzymał parsknięcie, ale jednak udało mu się zachować kamienny wyraz twarzy, gdyż oto sam papież przemówił do niego:

– Długo musiałeś czekać na to spotkanie, synu.

– Prawie trzy lata, Wasza Świątobliwość.

– Czy mógłbyś przetłumaczyć, co przed chwilą powiedział twój chiński przyjaciel?

– On... – zająknął się Michał. – On powiedział..., że nigdy nie wdział równie wspaniałych malowideł! – dokończył w natchnieniu (choć sumienie szeptało mu: „Właśnie okłamałeś Ojca Świętego"). Michał wskazał ręką na sklepienie kaplicy, gdzie pyszniły się freski namalowane przez Michała Anioła. – Powiedział, że podoba mu się zwłaszcza scena stworzenia Adama, bo postać Boga Ojca jest tak wszechpotężna i pełna godności...

– I to wszystko zawarł w tych paru dźwiękach? – przerwał mu ze zdziwieniem Aleksander VII, przyglądając się Chińczykowi. Andrzej miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– No, tak – zreflektował się Michał. – Język chiński jest bardzo pojemny, Wasza Świątobliwość.

W tym czasie jego sumienie skandowało rytmicznie: „Kłamczuch! Kłamczuch!"

– Zachwycające – rzekł z podziwem papież. – Ale o tym porozmawiamy może później. Teraz powiedz mi, synu, z czym do mnie przybywacie.

– Przynosimy listy chrześcijańskiej cesarzowej Chin, Heleny z dynastii Ming z wyrazami posłuszeństwa i prośbą o Twoje błogosławieństwo dla całego państwa Mingów, Ojcze Święty – wyrecytował Michał bez zająknięcia.

Andrzej w milczeniu potakiwał głową każdemu słowu przyjaciela. Po czym obaj znowu przyklękli, podając papieżo-

wi ozdobną szkatułę. Papieski sekretarz otworzył ją ostrożnie i z szacunkiem rozwinął zwój żółtego jedwabiu. W blasku świec materiał połyskiwał złociście, a wymalowane na nim czarne znaki zdawały się tańczyć z radości, że po tylu latach wydostały się wreszcie z zamknięcia. Papież w zadumie pogładził dłonią jedwabny list.

– Czy możecie mi to przeczytać po chińsku? – zapytał.

Michał i Andrzej jednocześnie skinęli głowami. Andrzej wystąpił krok do przodu i spokojnym, mocnym głosem odczytał treść pisma cesarzowej Heleny. Każde słowo brzmiało głośno i dumnie, leciało aż pod sklepienie kaplicy, wprawiając w zadziwienie wymalowanych na freskach starotestamentalnych proroków i sybille. Michał przyglądał się przyjacielowi z podziwem – oto miał przed sobą prawdziwego ambasadora dynastii Ming.

Gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki listu, papież Aleksander VII uśmiechnął się życzliwie.

– Pięknie! – powiedział. – Szkoda tylko, że nic nie zrozumiałem.

– Przywieźliśmy również łacińskie tłumaczenie, Wasza Świątobliwość – pospieszył z zapewnieniem Michał, wręczając sekretarzowi starannie złożoną kartę papieru.

– Wobec tego poczekajcie kilka chwil, aż zapoznam się z jego treścią i wówczas dam swoją odpowiedź.

Michał i Andrzej stanęli nieco z boku pełni napięcia. Czuli się jak postaci z wielkiego fresku przedstawiającego Sąd Ostateczny, który majaczył za plecami papieża. Właśnie ważyły się losy całego poselstwa, tych pięciu długich lat, odkąd wyruszy-

li z dworu cesarza Yongli. Jaka będzie decyzja Ojca Świętego? Co odpowie? Po kilku nieskończenie długich minutach papież Aleksander VII przywołał ich gestem ręki i przemówił:

– Piękne są słowa cesarzowej Heleny. Uradowały one niezmiernie moje serce. Odpowiem na nie listem, do którego dołączę w prezencie złote medale ze swoją podobizną. Będę jednak potrzebował wysłanników, którzy zaniosą mój list i dary na cesarski dwór w Chinach. Czy podejmiecie się tego zadania?

– To będzie zaszczyt, Wasza Świątobliwość! – wykrzyknął Michał Boym bez wahania.

– *Szy*! – potwierdził Andrzej Cheng.

– Zatem niezwłocznie szykujcie się do podróży. Audiencja skończona – odrzekł papież Aleksander VII, kreśląc w powietrzu znak błogosławieństwa.

***

Wiosenny wiatr wydymał żagle okrętu. Michał i Andrzej stali na jego pokładzie, wpatrując się w ledwo widoczne wybrzeże Portugalii. Znowu wyruszali w daleką, daleką podróż niepewni, ani kiedy dotrą do Chin, ani co znajdą u celu wędrówki. Michał, zdjęty nagłym strachem, spojrzał przyjacielowi w oczy. Dostrzegł w nich całą mądrość Wschodu i ogromny spokój, którego tak bardzo teraz potrzebował.

– Andrzeju, będziesz przy mnie do samego końca? – zapytał.

– *Szy*, Bu Mige. *Szy*.

Rozdział I
Święty objawia się we Lwowie
str.5

Rozdział II
Na jezuickiej scenie
str.10

Rozdział III
W Krakowie trzeba poczekać
str.17

Rozdział IV
Lizbona pachnie oceanem
str.23

Rozdział V
Chwiejne deski pokładu
str.28

Rozdział VI
Polowanie na hipopotamy
w Mozambiku
str.35

Rozdział VII
W Makau wszystko jest inne
str.46

Rozdział VIII
Nauka medycyny na Hajnanie
str.51

Rozdział IX
Na cesarskim dworze
str.59

Rozdział X
Kto zaniesie list?
str.65

Rozdział XI
Ucieczka z Goa
str.70

Rozdział XII
Trudy wędrówki
str.77

Rozdział XIII
Przed weneckim dożą
str.81

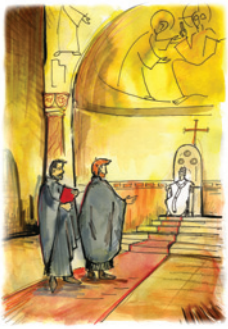

Rozdział XIV
Gdzie Rzym, gdzie Chiny
str.86

Jak Michał ze Lwowa do Chin zawędrował

Wydanie I 2019

Tekst © Monika Miazek-Męczyńska
© Wydawnictwo Pomarańczowa Alternatywa

Ilustracje i okładka © Przemysław Wysogląd @ wysoglad.jezuici.pl
© Wydawnictwo Pomarańczowa Alternatywa

Projekt i skład: Grzegorz Kabas @ www.kabas.pl

Książka wydana w ramach Inicjatywy „Michał Boym AD 2019 – Polski Marco Polo" @ michalboym.pl

pod Patronatem Honorowym Komisji Episkopatu Polski ds. Misji i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

ISBN 978-83-926511-1-6

© Fundacja Pomarańczowa Alternatywa
www.pomaranczowa-alternatywa.pl
tel: (22) 612 11 32, e-mail: centrum.pa@gmail.com

Druk: Verbinum @ www.verbinum.pl

Styl „Jak Michał ze Lwowa do Chin zawędrował”, przygodowe ujęcie jego rejsu do Chin, ciekawe opisy odkrywanych przez młodego jezuitę zakątków Portugalii, Afryki i Azji – zanim dopłynął do celu – i gdy, ucząc się chińskiego, szkicował mapę Chin, ich roślinność, faunę, miejsca zasobów naturalnych, zapoznawał się z historią Państwa i ówczesną sytuacją podboju Chin przez Mandżurię zainteresują na pewno młodego czytelnika.

Stanisław Opiela, SJ

Książka jest napisana pięknym językiem i pozwala nie tylko poznać życie i działalność Michała Boyma, ale także nabrać do niego sympatii i rozpoznać w nim wielkiego Polaka – podróżnika, dyplomatę, naukowca. Autorka operuje w sposób swobodny dialogami, metaforami, obrazami literackimi, a także humorem, co niezwykle podnosi możliwości percepcji w odbiorze tego dzieła.

Ks. dr hab. Dariusz Klejnowski-Różycki, prof. UO

Wydawnictwo
Pomarańczowa Alternatywa